

**REBECCA KING**

# **Płonaça jaskinia**

scandalous



***Harlequin*®**

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg  
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia • Sydney  
Sztokholm • Tokio • Warszawa

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czemu jej po prostu nie zamkniesz i nie wyrzucisz klucza?

- I nie trzymasz o chlebie i wodzie?

- Tak, coś w tym rodzaju. To by ją błyskawicznie złamało.

- Mój drogi chłopcze - siwy mężczyzna ponuro potrząsnął głową - obawiam się, że nie jesteś na bieżąco. Stare, dobre czasy minęły bezpowrotnie. Tu, w Anglii, zresztą podobnie jak w Stanach, młode kobiety nie przepadają za tym, aby je zamykano, nawet jeśli robią to zaślepieni miłością dziadkowie. - Jego wzrok spoczął na stojącej na biurku oprawionej w ramkę fotografii. Młodszy mężczyzna również spojrzał w tamtą stronę.

- To ona?

- Tak, to Dany. Zdjęcie zrobione w zeszłym miesiącu, w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin.

Wziąwszy do ręki fotografię, młodszy mężczyzna przyglądał się jej ze znanstwem. Naturalnie nie był to jego styl. Nie przepadał za starannie upozowanymi w studiu portretami. Mimo to... Kaskady złocisto-rudych włosów okalających owalną twarz, szerokie usta rozchylone w lekkim półuśmiechu, firanka ciemnych rzęs przysłaniająca ogromne oczy. Dziwny kolor... prawie złoty... nie, to barwa topazu, właśnie tak. I jeszcze coś - łobuzerski ognik migoczący w jej oczach. Fotograf doskonale wykonał swoją pracę - łabędzia szyja wyłaniająca się z białej, jedwabnej krezy, ponętnie udrapowanej wokół ramion, nieco tęskny wyraz ust. Mimo to...

- Co o niej sądzisz?

- Cóż, bardzo interesująca twarz. - Powolnym gestem odstawił fotografię na miejsce.

- Tak, zawsze wyróżniała się z tłumu. Spójrz na to. - Starszy pan otworzył szufladę, przetrząsnął stertę papierów i wyciągnawszy długi rulon, pchnął go przez biurko. - Zdjęcie klasowe. Ciekawe, czy rozpoznasz ją, kiedy miała piętnaście lat.

Rozwinąwszy rulon, młodszy mężczyzna uważnie studiował rząddek młodych twarzyczek.

- Tutaj! - Smukły palec wskazał twarz o ustach rozchylnych w figlarnym uśmiechu, okoloną gęstwą złocistorudych włosów przysłaniających patrzące prosto w kamerę oczy. - Nie, czekaj... - Zbity z tropu, podniósł wzrok.

- Nie martw się, nie ma siostry bliźniaczki. - Roześmiał się na to jego towarzysz. - To również jest Dany. Chodziło o zakład. Przebiegła za plecami wszystkich, ustawiła się na samym końcu i jest sfotografowana dwukrotnie. - Ponownie przyjrzał się zdjęciu. - Hmm, widzę, że ma tutaj jeszcze brwi.

- Sugerujesz, że nie zawsze je miała?

- Cóż, straciła je na jakiś czas. Organizowała właśnie piknik grupy skautów i dziwnym trafem użyła niewłaściwego materiału do rozpalania ogniska. Mimo to, miejscowy ratusz nie został całkowicie zrównany z ziemią - dodał pośpiesznie, gdy drugi mężczyzna znacząco uniósł wzrok ku górze.

- I to ma być ten mały, bezbronny dzieciak, którego miałbym pilnować? Wygląda na to, że to raczej inni potrzebują ochrony przed nią.

Chwycił swoją szklaneczkę, podniósł się ze skórzanej kanapy i, podszedłszy do okna, spojrzawszy na trawniki, zarośla i falisty zarys widniejących w oddali wzgórz Cotswold. Typowo angielski krajobraz, tak różny od tego, w którym miało miejsce jego ostatnie spotkanie z tym oto człowiekiem.

Kołysząc szklaneczkę w dłoniach, wpatrywał się ponuro w bursztynowy płyn, po czym jego wzrok

powędrował ku czarno-białej fotografii wiszącej na ścianie. Jedną z jego najlepszych, jak zawsze mawiał Tom. Pamiętał ten dzień - tylko oni, sami we dwójkę w tropikalnych lasach Tierranuevy. Tom Trent, szukający ucieczki od nudnego trybu życia attache kulturalnego ambasady brytyjskiej w Santa Clara oraz on sam, fotografujący dla National Geographic, po raz pierwszy z daleka od wojny. Pamiętał, jak z uporem czekał godzinami, by uchwycić ten właśnie moment, kiedy pochylone popołudniowe cienie potęgowały ogrom ciemnego, dziewiczego lasu, by wreszcie pochłoniąć ukradkiem wspaniałą prekolumbijską świątynię. Wydawało się to tak dawno temu...

Odwrócił się powoli ku mężczyźnie, który przyglądał mu się spoza biurka.

- Przepraszam cię, Tom, ale niańczenie dzieci zupełnie mi nie odpowiada.

- Potraktuj to jako wakacje.

- Masz na myśli ten chodzący ładunek wybuchowy?

- Szturchnął palcem fotografię na biurku. - Też mi wakacje!

- Ale sam przed chwilą narzekałeś, że już od tak dawna, odkąd zacząłeś tworzyć u siebie w Bostonie tę międzynarodową agencję fotograficzną, nie miałeś prawdziwego urlopu.

- Tak, to ciężka praca - zgodził się gość - ale rzeczywiście się opłaca.

- O, jestem tego pewien - odparł oschle starszy pan, lustrując wzrokiem jego nieskazitelny garnitur od Ralpha Laurena, białą jedwabną koszulę i płaskiego złotego rolexa. - Ale z pewnością, mój chłopcze, w porównaniu z trybem życia, które prowadziłeś do niedawna, jest odrobinę... hm... za bezpieczna.

- Możliwe - roześmiał się jego towarzysz - mimo to oszczędź mi, proszę, swojej gładkiej dyplomacji. Przykro mi, Tom, ale naprawdę tracisz czas.

- Szkoda. Nie widziałem, żebyś kiedykolwiek przedtem odrzucił wyzwanie.

- O, do diabła! - Młodszy mężczyzna przesunął palcami po bujnej czuprynie. - Wiesz, jak łatwo pokonać mnie tymi wyrafinowanymi torturami psychicznymi.

Starszy pan przyglądał mu się, przez moment z uwagą. Grubo ciosana twarz o twardym wyrazie, ciało w szczytowej formie, szczupłe, umięśnione, jak u jaguara. Sprowokowany, postępował w sposób wyrachowany i zupełnie nieprzewidywalny, właśnie tak jak ów dziki zwierz. Ciebie, młodzieńcze, pomyślał, nie jest łatwo czymkolwiek pokonać. Zamiast tego powiedział jednak:

- Posłuchaj chociaż, o co mi chodzi.

Gość opadł z powrotem na kanapę.

- W porządku. Masz pięć minut. Co tu jest, do diabła, grane i jaka jest w tym rola twojej siejącej postrach wnuczki?

- Żadna, mam nadzieję. Lecz mimo to... - Westchnął głęboko. - Danielle, to znaczy Dany, jest jedynaczką. Kiedy miała trzy lata, umarła jej matka, a mój syn, Filip, kiedy miała lat trzynaście. Przeszedłem wcześniej na emeryturę, żeby stworzyć jej dom, ale nie byłem chyba w tym najlepszy. Jest moją jedyną wnuczką i podejrzewam, że zbyt jej po-błażałem.

- Czy to znaczy, że jest rozpieszczoną pannicą?

- Niezupełnie. Jest za to uparta, impulsywna, zawsze pakuje się w kłopoty. Ale serce ma złote - dodał, dostrzegłszy grymas na twarzy gościa. - Kiedy zaczęła pracować, czasowo jako sekretarka... nienawidziła być przywiązana zbyt długo do jednego miejsca...

- Znam to uczucie - wtrącił oschle młodszy mężczyzna.

- Pod koniec pierwszego miesiąca okazało się, że żyje fasolą z puszki, ponieważ oddała całą swoją pensję jakiemuś obleśnemu artyście-naciągaczowi opowiadającym bajeczkę o chorej żonie i dziecku, któremu niezbędne jest świeże powietrze szwajcarskie.

Tak, to by się zgadzało. Wzrok gościa ponownie powędrował ku fotografii - te oczy pełne zadumy i ufności. Z pewnością nie nadawała się do konfrontacji z brutalną rzeczywistością.

- Mimo to sądzę, że teraz, kiedy się zaręczyła, powoli się usatkuje.

- Zaręczyła się?

- Tak. Z Marcusem Cliffordem, wykładowcą historii średniowiecznej w Balliol College, w Oksfordzie. Jest on starym przyjacielem rodziny, zna Dany od dziecka. Byłem zaskoczony, kiedy mi o tym powiedzieli, ale myślę, że ona właśnie kogoś takiego potrzebuje, kogoś, kto wpływałby na nią stabilizująco.

Biedne dziecko. Na samą myśl o tej szalonej, pięknej dziewczynie, skazanej na duszną celę więzienną w oksfordzkim college'u, ogarnęło go współczucie. Ale w takim razie...

- Więc na czym polega problem?

- Pewnego wieczora wpadła tutaj, kiedy właśnie to przeglądałem. - Trent wyciągnął broszurę ze zdjęciami wyrobów garncarskich: czar i waz w kształcie groteskowych ludzi i zwierząt oraz złotych i jadeditowych posążków. - Dzieła Majów, prawdopodobnie z Tierranuevy. Zostały zatrzymane przez celników z Miami, ale sądzi się, że to tylko sam wierzchołek góry lodowej.

- Chcesz powiedzieć, że te cholerne nielegalne wykopaliska w dalszym ciągu funkcjonują?

- Jest coraz gorzej - odparł ponuro Tom Trent.

Przez chwilę jego wzrok błądził po umeblowanym w stylu Sheraton gabinecie, zastawionym przedmiotami z porcelany. Część z nich, potłuczona, została przepięknie odrestaurowana. Na półce stały małe jadeditowe posążki. Uchwycił spojrzenie swojego gościa i roześmiał się.

- Nie martw się. To wszystko znalazło się tutaj legalnie, kupione na wolnym rynku. Jednak zbyt wiele tego przecieka między palcami, znikając na zawsze

w tajnych galeriach pozbawionych skrupułów kolekcjonerów. Opowiedziałem Dany o tym i zanim się obejrzałem, oznajmiła mi, że wzięła wszystkie swoje oszczędności i wybiera się na jedną z wycieczek w górę rzeki do tego właśnie regionu w Tierranueva, gdzie prawdopodobnie mają miejsce grabieże.

- Na litość boską - w głosie młodego mężczyzny zadźwięczała nutka gniewu - chyba nie sądzisz, że ta mała idiotka ma zamiar się temu przyjrzeć?!

- Nie, jestem pewien, że nie. - Nie brzmiało to jednak przekonująco. - Kiedy spytałem ją, dlaczego tak nagle oszalała na punkcie tej wycieczki, odpowiedziała mi tylko, że tyle opowiadałem jej o Tierranueva, iż zapragnęła zobaczyć ją na własne oczy.

- Dlaczego ten jej narzeczony z nią nie jedzie?

- Cóż, przede wszystkim jest teraz środek semestru.

- Więc czemu, do diabła, nie walnie pięścią, to znaczy chciałem powiedzieć, nie powstrzyma jej?

- Powstrzymać ją? - Tom Trent uśmiechnął się krzywo.

- Hmm. I zapewne tu właśnie ja mam wkroczyć na scenę. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, o co mnie prosisz? Żebym dołączył do grupy bogatych, wymusianych turystów. - Jęknął rozpaczliwie. - Boże, Tom, wiesz, że tego nie cierpię. Kiedy podróżuję, robię to samotnie.

- Tak, wiem - odparł starszy mężczyzna pojednawczo.

- Więc czemu ja?

- Ona nigdy cię nie widziała, znasz doskonale Amerykę Środkową, a poza tym powód jest prosty: w sytuacji kryzysowej tobie ufam najbardziej.

- Wspaniale! Na koniec pochlebstwo wieńczące cały ten emocjonalny szantaż.

- To nie znaczy, że zaistnieje sytuacja kryzysowa - dodał Tom Trent pośpiesznie. - Dany nie powinna nawet podejrzewać, że ktoś nad nią czuwa. Znam te wycieczki. Przewiozą ich dookoła, owiniętych w pach-

nącą bawełnę, żeby się nie potłukli, a potem wmówią im, że to prawdziwy świat. Tak więc szczerze wątpię w to, żeby wpakowała się w jakieś kłopoty.

Pomimo tych słów młody mężczyzna dojrzał w jego wzroku cień niepokoju. Nie, to było coś więcej - strach. Boże, uchronij mnie przed tymi wszystkimi więzami uczuciowymi, pomyślał nagle. Już miał zamiar powiedzieć: Dziękuję, Tom, za zaufanie, ale wybacz... - gdy fotografia na biurku po raz kolejny przyciągnęła jego wzrok. Ta twarz... te usta, wargi rozchylone w drżącym uśmiechu... i te cudowne oczy o barwie topazu... Do diabła! Zirytowany, ponownie zanurzył palce w gęstwinie czarnych włosów.

- Kiedy ta cholerna wycieczka się zaczyna?
- W ten czwartek.
- W czwartek? Przecież to już za dwa dni. Czy to nie za późno, żeby mnie tam wkręcić?
- Żaden problem. Znam dyrektora biura podróży i jestem pewien, że jakoś cię tam umieści.
- Wiem, że będę tego żałował, ale dobrze, zgadzam się.
- Wspaniale! Wierzyłem, że mnie nie zawiedziesz.
- Proszę, skończ już z pochlebstwami. - Gość uniósł dłoń z dezaprobata. Podwinąwszy mankiet koszuli, spojrzął na zegarek i wstał. - Naprawdę muszę już iść, pojednać się z Mandy.
- Z Mandy?
- Tak. Jest przekonana, że jutro rano jedzie ze mną do Cannes.

Trent również się podniósł i uścisnęli sobie dłonie. Pomimo, że gospodarz mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, drugi mężczyzna przewyższał go jeszcze o jakieś dziesięć centymetrów.

- Do zobaczenia, Tom. I nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

Odwracał się do drzwi, gdy nagle dobiegł go dziwnie speszony głos.



- Tak a propos, Dany, pomimo maski twardziela, którą tak chętnie przywdziewa, w rzeczywistości jest bardzo wrażliwa i łatwo, no wiesz, zranić jej uczucia.

Młody mężczyzna posłał mu długie spojrzenie.

- A ty sądzisz, że ja z moim podejściem do kobiet mógłbym przy okazji niańczenia twojej wnuczki przekroczyć pewne granice?

- Coś w tym rodzaju.

Poszukał wzrokiem cudownych topazowych oczu, które odważnie wytrzymały jego spojrzenie.

- Czy nie zapominasz przypadkiem o narzeczonym?

- rzekł w końcu, zwracając się raczej do fotografii niż do Trenta. - Nie martw się, Tom - odezwał się ponownie - przywiozę ci wnuczkę całą i zdrową. Przyrzekam.

Dany zakręciła brzoskwiniowy błyszczak do ust i, wrzuciwszy go do torebki, przejrzała się krytycznie w lustrze. Nie było sensu nakładać więcej makijażu, gdyż już teraz jej czoło lśniło potem, którego maleńkie kropelki pojawiły się również nad pełnymi ustami.

Wytarła twarz papierową chusteczką. Boże, ależ tu gorąco - przepojone wilgocią, upalne powietrze przypominające saunę sprawiało, że cała się lepiła, choć nie dalej jak pięć minut temu wyszła spod prysznic. Sytuację pogarszały dodatkowo włosy spadające na kark gęstą złocistorudą kaskadą. Niecierpliwym gestem podwinęła je do góry i za pomocą czarnej spinki upięła w wysoki kok. Dużo lepiej. Marcus zawsze wołał ją w tym uczesaniu...

Marcus. Spojrzała na lewą dłoń, na piękny stary pierścionek z granatami i maleńkimi perełkami, który sama wybrała w ów wiosenny weekend w Oksfordzie. Na jej ustach pojawił się uśmiech lekko zabarwiony tęsknotą. Gdyby tylko on tutaj był... Prawie cała grupa wycieczkowa składała się z par i odkąd opuścili Santa Clara, coraz bardziej żałowała nagłego impulsu, pod wpływem którego poszła do biura podróży zaledwie kilka dni po tym, jak ustalili wreszcie datę ślubu.

Naturalnie była idiotką sądząc, że znajdzie się w obrębie chociażby paru kilometrów od miejsca przemytu. Skrzywiła się do swego odbicia w lustrze - chyba naprawdę będzie musiała oderwać się od sensacyjnej literatury w stylu Forsyth'a i Higginsa, która ostatnio wciągnęła ją jak narkotyk. Całe szczęście, że dziadek niczego nie podejrzewał, gdyż w przeciwnym wypadku mógłby nalegać na to, żeby z nią tutaj przyjechać.

Z długiej werandy, która ciągnęła się na zewnątrz wzdłuż ściany hotelu, dobiegły ją głośne, rozbawione głosy. Pośpiesznie zrzuciwszy ręcznik, którym była owinięta, włożyła czystą bieliznę. Następnie wsunęła się w piękną letnią sukienkę z turkusowej bawełny, kupioną, jak zresztą wszystkie jej ubrania, w jednym ze zwykłych sklepów, niedaleko jej małego mieszkania. Zapięła suwak i ponownie przyjrzała się sobie krytycznie. Suknia wyraźnie podkreślała jej szczupłą talię, wypukłości pełnych piersi i bioder oraz kobiecy zarys długich ud. Jednak zdecydowanie lepiej czuła się w dżinsach, podkoszulkach i luźnych bawełnianych kostiumach, które nosiła na co dzień podczas całej wycieczki. Spryskawszy się obficie środkiem odstraszającym insekty, chwyciła torebkę i wyszła, by dołączyć do reszty wycieczkowiczów.

- Dany, przyłącz się do nas. - Gdy tylko pojawiła się na tarasie, pulchna, miła pani Robins z Wisconsin zaprzestała na moment wachlowania i wskazała na stojące obok niej miękko wyściełane krzeselko bambusowe. - Napijesz się czegoś, kochanie?

- O, tak, poproszę o sok cytrynowy.

Kelner, południowoamerykański Indianin, podobnie jak cała obsługa hotelowa w małym, położonym nad rzeką miasteczku Fermina, postawił przed nią zimny sok. W ciepłym wieczornym powietrzu szklane naczynia pokryła się szronem.

- O, tak lepiej - uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, spróbowałszy soku.

- Gorąco, prawda? skrzywiła się pani Robins.  
- Ale Jerry mówi, że będzie dużo gorzej, kiedy wejdziemy do dżungli.

- Czyżbym słyszał kogoś wzywającego moje imię nadaremno?

Na miły dźwięk nosowego, nowoangielskiego akcentu Jerry'ego Somersa, ich pilota, cała czternastoosobowa grupa wykrzyknęła zgodnym chórem:

- Dobry wieczór, Jerry!

Podszedł do nich niespiesznie ze szklaneczką w dłoni i opadł niedbale na sofę obok Dany.

Podczas ich pierwszego wieczoru zapoznawczego w Santa Clara, Dany zdała sobie sprawę, że oni dwoje byli najmłodszymi członkami grupy. Jerry był najwyżej tuż po trzydziestce. Zaświtała jej wtedy w głowie myśl, czy on aby nie planuje wakacyjnego romansu, więc jak najszybciej wspomniała w rozmowie imię Marcusa. Wprawdzie Jerry, jako doskonały pilot, był wyjątkowo miły w stosunku do niej, jednakże w gruncie rzeczy nie poświęcał jej więcej uwagi niż swoim pozostałym podopiecznym.

Mimo to, gdy uśmiechnęła się do niego, dostrzegła znaczące spojrzenie, które pani Robins posłała pani Schofield, równie pulchnej jak ona sama damie w średnim wieku z Calgary. Dany zaczerwieniła się, a gdy pochwyciła utkwiony w nią spoza ciemnych okularów zimny wzrok pana Jamesa, oblała się szkarłatem i pośpiesznie przesunęła do tyłu, w cień zwisającego krzewu chińskiej róży.

Wypiła kolejny długi łyk schłodzonego soku i spodnad szklanki przyglądała się współuczestnikom wycieczki. Pięć par w średnim wieku - cztery z Ameryki Północnej i jedną ze Szwecji, stara panna z Niemiec, oddająca się swej życiowej pasji obserwowania owadów, Meksykanin, senior Batista, który teraz, w wieku osiemdziesięciu lat, zabrał się do odkrywania swego własnego kontynentu po tym, jak przez całe życie jeździł po świecie jako międzynarodowy bankier.

Aha, i jeszcze pan James. Popatrzyła na niego- spod rzęs i zauważyła, że jak zwykle siedzi pochylony nad swoim notesem. Kolejne szczegółowe zapiski z wycieczki do książki podróżniczej. Z roztargnieniem poprawił zsuwające się z nosa okulary, po czym powróca do pisania.

Kiedy w Santa Clara grupa zebrała się po raz pierwszy, Dany o mało się nie załamała, ale pomyślała, że w końcu trudno oczekiwać wielu młodych osób na tak luksusowej wycieczce. Gdy przyszedł jej do głowy pomysł przyjechania tutaj, kusiło ją, żeby wybrać trudniejszy wariant. Wiedziała jednak bardzo dobrze, że jeśli powiedziałyby Mareusowi i dziadkowi o wycieczce z plecakiem po Tierranueva, nie byłoby mowy, żeby kiedykolwiek dostała się do samolotu.

- Jesteś bardzo zajęty, Nicholas? - Pani Robins pochyliła się, by zerknąć do notesu pana Jamesa.

- Tak. Etap przygotowawczy w procesie pisania książki jest zawsze najdłuższy.

- Ta druga książka, o której nam pan opowiadał - wtrąciła Dany - ...wydaje mi się, że pamiętam pana z telewizji śniadaniowej, kiedy ją pan reklamował.

- Z pewnością nie, panno Trent. Obawiam się, że książki, które piszę, nie zasługują na promocję w tego typu programach - odparował James i powrócił do swoich notatek.

Dany zacisnęła usta. Nie miała pojęcia, czym mogła go obrazić. Nie był specjalnie towarzyski, ale z jakiegoś powodu docinanie jej sprawiało mu szczególną radość. A niech mu tam będzie, pomyślała i odwróciła się ku Jerry'emu.

- Czy wszystko już załatwione? Mam na myśli nasze dwie noce w Xocambo? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczymy ruiny tych dwóch piramid.

- Mam nadzieję. Chociaż... - Uśmiechnął się do niej rozbrajająco. - Nie mogę niczego gwarantować. Zbyt późno dowiedziałem się o tym, że mam zastępować kogoś, kto zwykle prowadzi tę wycieczkę.

- Ale radzisz sobie doskonale - wtrąciła jedna z kobiet. - Prawda? - zwróciła się do pozostałych, którzy potwierdzili jej słowa zgodnym pomrukiem.

Kochana pani Schofield - Dany powstrzymała uśmiech, gdy dama poklepała Jerry'ego po rękę, dodając figlarnie:

- Jeszcze nikogo z nas nie zgubiłeś.

- Cóż, dziękuję. - Komplement wywołał rumieniec na przystojnej twarzy Jerry'ego. - Ale nie śpieszcie się z pochwałami, panie i panowie. Będziemy jeszcze mieli okazję zgubić się wszyscy razem w dżungli.

- W lesie - zabrzmiał pedantyczny głos pana Jamesa wśród szmeru nieco wymuszonego śmiechu.

- Co masz na myśli, Nicholas? - spytał uprzejmie Jerry.

- W Ameryce Środkowej i Południowej rosną lasy. Jeśli chcesz dżungli, obawiam się, że musiałbyś się udać na subkontynent indyjski.

- Widzicie, kochani. - Jerry jako jedyny wydawał się być całkowicie nieświadomy atmosfery ogólnego zakłopotania. - A nie mówiłem? Jestem tu nowy. Dzięki, Nicholas. Na przyszłość będę pamiętał.

Świetnie rozegrane, Jerry. Dany posłała mu ciepły uśmiech. Ciepłiwość w kontaktach z trudnymi klientami była istotnym elementem w wykonywanym przez niego zawodzie, jednakże zachowanie uprzejmości w stosunku do kogoś takiego jak pan James nie przychodziło chyba łatwo.

Jej wzrok powędrował poza werandę poprzez szkarłatne tropikalne pnącze ku hotelowym terenom i światłom małego nadrzecznego miasteczka.

Opanowała nagły dreszcz. Poza tymi światłami, poza pedantycznie przystrzyżonymi trawnikami i starannie wypielegnowanymi krzewami róży chińskiej znajdował się bezkresny obszar zielonej ciemności, czekający na nich...

W drzwiach pojawił się starszy kelner. Jerry wstał.

Czas na kolację. I przypominam, że miejscowy zespół zaczyna grać o dziesiątej, więc jeśli moglibyście zebrać się do tego czasu w barze...

Wszyscy skierowali się do środka. Dany przez chwilę dała się ponieść wyobraźni. Jakie to głupie! Przez okno widziała blask świec, różowoliliowe lniane serwetki, błyszczące srebrne sztucce. Wycieczka była tak doskonale kontrolowana, tak... cywilizowana, że podczas ich dwudniowego safari w lesie Jerry na pewno zrobi wszystko, by byli bezpieczni.

Na werandzie została tylko ona i pan James, w dalszym ciągu pochylony nad notatkami. Ogarnęło ją uczucie irytacji. Z pewnością nie był dużo starszy od Jerry'ego, a mimo to bez poczucia humoru, supernudny i superpedantyczny. W swoim gustownym garniturze z kremowego płótna, z czarnymi włosami przedzielonymi starannym przedziałkiem działał jej na nerwy.

Nagle poczuła złośliwą pokusę, by przebić się przez ten pancerz pedanterii i wykwintu i zobaczyć, czy jest pod nim ukryty prawdziwy mężczyzna. Wbrew samej sobie podeszła do niego powoli, prowokacyjnie kołysząc biodrami i przystanęła tak, by ich kolana prawie się dotykały.

- Wygląda na to, że zostaliśmy w tyle - odezwała się miękko. - Czy zjemy razem kolację?

Gdy spojrzał do góry, uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech, nadający jej topazowym oczom blask, a pełnym delikatnym ustom przepiękną linię, nigdy nie zawodził. Aż do tej chwili świadomie tego nie wykorzystywała, choć nie mogła nie zdawać sobie sprawy ze spustoszeń, jakie czynił w męskiej psychice. Jednak przerażający pan James był nań najwyraźniej uodporniony.

- Dziękuję, ale wolę spożywać moje posiłki samotnie, panno Trent. - Pomachał notesem, jak gdyby chcąc się w ten sposób usprawiedliwić, po czym powoli wstał i, przygarbiony, ruszył w kierunku sali jadalnej.

Następne upokorzenie! Dany wpatrywała się z gniewem w oddalające się plecy, lecz po chwili odzyskała humor. Chyba zanadto szafowała sprayem przeciwko insektom, gdyż zadziałał on teraz wysmienicie na pana patyczaka, Nicholasa Jamesa, pomyślała i położyła za nim.

- Nie wiem, jak wy, moi drodzy, ale ja idę się położyć.

Pani Schofield, olśniewająca w swoim beżowym stroju safari, odstawiła filiżankę po kawie i wstała. Uśmiechnęła się promiennie do Jerry'ego wyciągniętego w wiklinowym krześle.

- Dzięki, Jerry. To były wspaniałe dwa dni. Wszyscy wrócimy do domu z poczuciem, że naprawdę znamy dżunglę.

- Cieszę się, że jesteście zadowoleni. - Jerry również wstał. - Czy mogę teraz zaproponować, żebyśmy wszyscy poszli za przykładem pani Schofield i udali się na sjęstę? Pamiętajcie, że musimy wyruszyć w drogę o piątej po południu, żeby zdążyć na kolację do Ferminy.

Dany przyglądała się, jak uprzejmie, choć bardzo stanowczo skierował wszystkich do środka.

- Podobało ci się, Dany?

- O, tak. Bardzo.

- Może moglibyśmy dziś wieczór po powrocie do hotelu wypić razem drinka? - zaproponował po chwili wahania. - Tylko we dwoje, choć na pięć minut.

Sztuczny wyraz jego twarzy sprawi, że Dany roześmiała się.

- Z przyjemnością, dziękuję - odparła po krótkim zastanowieniu.

Znalazszy się z powrotem w swoim pokoju, stanęła przy oknie i z uczuciem niezadowolenia wyglądała przez współprzymknięte żaluzje. Reszta grupy wydawała się w pełni usatysfakcjonowana dwudniowym safari w dżungli - o, przepraszam, panie James - w lesie

i wieczornym spacerem ściśle kontrolowanym przez Jerry'ego i parę czarujących Indian. Ona jednak miała niejasne przeczucie, że to, co widzieli, miało niewiele wspólnego z prawdziwą Ameryką Środkową.

Odnosiła wrażenie, jak gdyby wszystko dookoła - ruiny miasta, nowoczesny hotel turystyczny zbudowany obok, las, który je otaczał - było codziennie wieczorem szorowane, dezynfekowane i sterylnie pakowane na użytek następnej wycieczki. A oni już wyjeżdżali...

Ale nie przez najbliższe trzy godziny. Przypuśćmy, że wymknęłaby się z hotelu i rzuciła okiem na ruiny wyłaniające się spoza drzew, które wczoraj widzieli ze świątyni na wzgórzu. Jerry powiedział, że nie ma tam nic wartego oglądania, że wykopaliska archeologiczne jeszcze się tam nie rozpoczęły, a poza tym nie wolno im samym oddalać się nawet na pięć minut. Ale on nie musi o niczym wiedzieć...

Wymknęła się cichutko tylnymi drzwiami, skąd od najbliższych drzew dzieliło ją zaledwie parę metrów. Stanąwszy w ich cieniu, obejrzała się, lecz nie dostrzegła Jerry'ego mknącego za nią w szaleńczym pościgu. W oliwkowozielonych spodniach i koszuli oraz wojskowym kapeluszu nasuniętym szczelnie na ognistorudę włosy będzie teraz niemal niewidoczna. Odetchnąwszy głęboko, przycisnęła aparat fotograficzny mocniej do siebie i odmaszerowała w stronę najbliższych zarośli.

Godzinę później stała pod ogromną bawełnicą, wierzchem dłoni wycierając czoło. Koszula przylepiła się jej do pleców, a cienkie strumyczki potu sączyły po wewnętrznej stronie ud. Udało się jej! Wprawdzie nie dała rady dojść do ruin, ale przynajmniej zobaczyła choć kawałek prawdziwego lasu. Stado barwnych niebieskich i żółtych papug, skrzeczących kłótniwie na palisandrze, nie kończąca się kolumna złowrogo wyglądających czerwonych mrówek, przecinająca jej drogę, aha, i długi, zielony wąż, od którego odskoczyła jak oparzona, a który okazał się zwisającym pnącem.



Teraz lepiej już wracać, jeśli nie chce, żeby Jerry wysłał za nią ekipę poszukiwawczą. Wyprostowała się, po czym gwałtownie zamarła w bezruchu, wyęzając słuch. Tak, coś tam było - znów ten sam dźwięk nie należący do łagodnych odgłosów lasu. Wahala się przez moment, po czym, przedarłszy się przez zarośla, stanęła jak wryta.

Tuż przed nią rozciągała się wycięta w lesie polana z niskimi kamiennymi budynkami. W samym centrum znajdowała się piramida, wciąż jeszcze oplatana grubymi pnączami, a wokół niej niczym rój owadów kręciło się mnóstwo Indian oraz jeden biały mężczyzna w wojskowej koszuli i spodniach oraz tropikalnym kapeluszu.

Jej serce waliło jak oszalałe. Czyżby trafiła na przemytników złotych i jadeitowych dzieł sztuki? A może miała do czynienia z jak najbardziej legalnym wykopaliskiem archeologicznym? Z pewnością nie. Nie znała się na archeologii, ale wiedziała jedno - jest to wolna, metodyczna praca, która posuwa się w ślimaczym tempie. Ta piramida była zaś bezlitośnie rozpruta, niemalże przenicowana na drugą stronę.

Radośnie podekscytowana, Dany podniosła do oka aparat i zaczęła robić zdjęcie za zdjęciem. Skradała się dookoła, ażeby móc bezpośrednio wychwycić wnętrze piramidy. Przeszkadzała jej jakaś gałąź. Przesunęła ją, ponownie uniosła aparat, lecz gdy spojrzała w wizjer, ujrzała patrzącego wprost na nią siedmio-, może ośmioletniego chłopca.

W tej samej chwili czyjeś ramię, mocne jak stal, chwyciło ją w pasie. Gdy otworzyła usta w odruchowym krzyku, poczuła na nich dłoń, zaś w następnym ułamku sekundy została odciągnięta do tyłu i przyciśnięta do silnego, twardego ciała.

Mężczyzna - nie mogła go zobaczyć, ale musiał to być mężczyzna - obrócił ją gwałtownie, przepchnął przez zarośla, po czym wcisnął w płytkie koryto po wyschniętym strumieniu pod osłonę krzaków. Sam

rzucił się na nią, przygważdżając ją, pomimo protestów, do ziemi. Jedyne, co czuła, to bicie jego serca i silne, umięśnione ciało naprężone niczym jaguar szykujący się do skoku.

Próbowała poruszyć się, powiedzieć, że ją dusi, ale jedyną reakcją z jego strony był potężny kuksaniec łokciem i jadowity syk do ucha: - Zamknij się wreszcie, do cholery! - W tym momencie usłyszała odgłosy zbliżających się kroków i rozmów.

Nie mogła oddychać, czerwone płatki wirowały jej przed oczyma. Wreszcie, gdy głosy oddaliły się, uchwyt mężczyzny zelżał, a on sam powoli zsunął się z niej. W dalszym ciągu oszołomiona, z sercem niemalże skamieniałym z przerażenia, odwróciła głowę i spojrzała prosto w lodowato zimne, zielone oczy. Oczy, których nigdy przedtem nie widziała, choć nie ulegało wątpliwości, że cała reszta twarzy była jej dziwnie znajoma.

Dany potrząsnęła głową, wstała powoli, po czym wydała zdumiony okrzyk:

- Pan James?!

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Zamknij się, powiedziałem.

Wraz z ciemnymi okularami, starannym przedziałkiem na głowie i pochylonymi ramionami zniknął sztywny ton głosu. Stał przed nią zupełnie inny mężczyzna. Bujna, czarna czupryna, pociągła twarz o ostrych rysach i męskich ustach, a przede wszystkim wspaniale zbudowane ciało. Leżąc u jego stóp na posłaniu z suchych liści, Dany z niedowierzaniem pochłaniała wzrokiem szerokie ramiona rozsadzające czarną koszulkę polo, męską talię i biodra, silne uda w niebieskich drelachach i wysokie po kolana buty z miękkiej, brązowej skóry.

- C-co pan tu robi, panie James? - Głośno przełknęła ślinę.

- A co, do diabła, myślisz?! - odparł niskim, wściekłym głosem.

- Nie wiem... - Jej oczy zaokrągliły się w zdumieniu.

- Śledził mnie pan?

- Nie, skarbie, byłem tu pierwszy.

-Ale... ale ja pana nie widziałam - jąkała się» niezdarnie. Nie bardzo wiedziała, jak rozmawiać z tym nowym panem Jamesem.

- I o to chodziło - odparł chłodno. - Podziękuj swoim szczęśliwym gwiazdom, że tu byłem, bo inaczej byłoby już po tobie.

Ponownie ogarnęło ją przerażenie, ale z trudem zdołała się opanować.

- To śmieszne.

- Tak sądzisz? Całe szczęście, że widziało cię tylko dziecko. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że coś

zmyśla i dostaje teraz za to niezłe cięgi. W przeciwnym razie leżałbym tu teraz sztywny obok ciebie. - Usta drgnęły mu lekko, gdy wstrząsnął nią bezwiedny dreszcz. - Wstawaj.

Dany zaczęła gramolić się z wysiłkiem, ale nogi całkowicie odmówiły jej posłuszeństwa. James ujął ją pod pachy i bezceremonialnie postawił. Oparła się o niego, nie mogąc utrzymać równowagi. Poprzez cienki materiał czuła pod palcami bicie jego serca. On jednak odepchnął ją szorstko.

- W porządku. Teraz wynośmy się stąd.

Trzymając w żelaznym uścisku jej ramię, holowała ją poprzez zarośla z prędkością, która najpierw pozbawiła ją tchu, a następnie zupełnie wyczerpała. Raz potknęła się o korzeń i upadła, a on bez słowa postawił ją na nogi. Ten cały marsz odbywał się w absolutnej ciszy, jeśli nie brać pod uwagę jej głośnego oddechu, przerażającego się chwilami w szloch. Natomiast ten wstrętny pan James nie wydawał się bardziej utrudzony niż podczas przechadzki na najbliższy róg ulicy, by wrzucić list do skrzynki.

Na skraju lasu przystanął i zatrzymał ją szarpnięciem.

- Słuchaj mnie teraz uważnie, panienko. Idź prosto do swojego pokoju, spakuj rzeczy i nie ruszaj się stamtąd aż do chwili, kiedy zostaniemy zawołani do dżipów. Słyszysz mnie? - Potrząsnął nią mocno, gdy nie odpowiadała.

- Tak, słyszę doskonale - wymamrotała ponuro.

- Nie widzę powodu, dla którego miałby mi pan łamać rękę.

Gdy ją wreszcie puścił, roztarta nadgarstek z widniejącymi na delikatnej skórze czerwonymi śladami, które momentalnie zaczęły puchnąć i ciemnieć.

- To jest nic w porównaniu z tym, co miałbym ochotę z tobą zrobić.

- Ale czy nie powinniśmy czegoś przedsięwziąć w związku z tym, co tam widzieliśmy?

- Ty nie będziesz robić nic.

- Kim pan właściwie jest? - Spojrzała mu w oczy.  
 - Zdaje się, że przedstawiono nas sobie. Nicholas James, do usług. ~ Wyciągnął z kieszeni ciemne okulary, włożył je na nos i na jej oczach przeistoczył się w przygarbionego, nieśmiałego naukowca.

- Ale kim pan jest naprawdę?

Jego twarz wykrzywił kwaśny uśmiech.

- Zawsze sądziłem, że tradycyjną odpowiedzią w takiej sytuacji jest „przyjaciel”. A teraz już idź i pamiętaj o tym, co ci mówiłem.

Tak, proszę pana, nie, proszę pana, dziękuję, proszę pana. Z trudem, w dalszym ciągu chwiejąc się na nogach, lecz za to w buntowniczym nastroju, Dany dowlokła się do pokoju i, opadłszy ciężko na łóżko, wpatrywała się tępo w przeciwległą ścianę. Czy rzeczywiście wybawił ją z poważnych kłopotów? Jeśli tak, powinna być wdzięczna, lecz niektórzy ludzie tak bardzo utrudniają, jeśli wręcz nie uniemożliwiają odczuwanie wobec nich wdzięczności.

Nicholas James... Mimowolnie cały czas o nim myślała. Jak mogła być tak ślepa - nie przejrzeć tych pochyłych ramion, nieco niezdarnego chodu, pękających w szwach notatników? Tymczasem w rzeczywistości pan James nie tylko nie był nieszkodliwy, ale wręcz przerażający.

Tak, ale kim on właściwie jest? Oświadczył ironicznie, że jest przyjacielem, ale czy mogła, czy powinna mu ufać? Nie wzbudzał specjalnie zaufania. I nie wyglądało na to, żeby miał zamiar coś zrobić w sprawie tego dzikiego wykopaliska. Czy rzeczywiście rozumiał, o co chodzi, czy też po prostu widział, jak wymykała się z hotelu, poszedł za nią, a potem zabawiał się jej kosztem, odgrywając jakąś melodramatyczną historyjkę? Wszystko było możliwe. Nie mogła jednak tak po prostu spakować się i wyjechać. Musiała powiedzieć komuś o tym, co działo się w lesie...

Dziesięć minut później wślizgnęła się cicho do sypialni, z uczuciem ulgi, że żaden dźwięk nie dochodzi

z pokoju Nicholasa Jamesa. Z pewnością postąpiła słusznie mówiąc o wszystkim Jerry'emu.

Z początku był zaskoczony i zły, ponieważ nie zastosowała się do jego poleceń. Ale potem pochwalił ją, że jest mądrą dziewczyną i powiedział, że teraz powinna zostawić to wszystko jemu.

Pokój wydawał się ciemny, gdy wchodziła do niego z przejścia oświetlonego promieniami popołudniowego słońca. Usiłując znaleźć po omacku przełącznik światła, natrafiła na czyjąś rękę. Tajemnicza dłoń natychmiast stłumiła jej krzyk. Poznała tę rękę - silną, bezlitośnie wpijającą się w jej delikatne ciało. Uścisk zelżał odrobinię, rozblęskło światło i...

- Go pan, do diabła, robi w moim pokoju? - Jej głos przybrał na sile, gdy odskoczyła od niego. - Proszę wyjść!

- Gdzie byłaś? - Oczy mężczyzny, niczym zielone lodowe sopele, przewiercały ją na wylot.

- Nigdzie. Tylko w holu. - Na poczekaniu spreparowała małe kłamstewko. - Było tam jedno czasopismo, które...

- Nie strugaj ze mnie wariata.

- Nie śmiałałabym...

- Pytam cię raz jeszcze...

- O, idź do...

.- Raz jeszcze, kulturalnie, gdzie byłaś? - Mówił spokojnie, lecz mimo to poczuła nagle, jak jeżą się jej małe włoski na karku.

- W porządku. Jeśli musisz wiedzieć, byłam u Jerry'ego, żeby powiedzieć mu o tym, co widzieliśmy.

- Co takiego?!

- Bierze na siebie pełną odpowiedzialność za poinformowanie władz, więc nie ma potrzeby, żebyś się tym zajmował osobiście.

-Ty...

Pan James najwyraźniej miał jakiś problem z głosem. Bardzo dobrze, pomyślała ze złośliwą satysfakcją. Niech wie, że nie wszyscy lecą od razu na złamanie karku, żeby wykonywać jego rozkazy.

-Wyjaśnijmy to sobie raz jeszcze. - James wzięł głęboki oddech. - Powiedziałaś Somersowi o tym, że widziałaś grabież grobowca?

- Tak, powiedziałam. - Na widok wyrazu jego twarzy serce o mało nie zamarło jej w piersi, lecz po chwili buntowniczo odgarnęła do tyłu złocistorude włosy. -I co teraz zrobisz? Spuścisz mi lanie?

- To jest akurat nic przy tym, co miałbym ochotę z tobą zrobić. Jesteś głupią, wtracającą się we wszystko smarkuła.

- O, nie! - Dany wreszcie poniosły napięte już do granic możliwości nerwy. Odgięła do tyłu rękę, lecz zanim zdążyła uderzyć, chwycił ją za nadgarstek i pogardliwie, z łatwością wykręcił tak, że w oczach stanęły jej Izy. Ich twarze dzieliło od siebie zaledwie parę centymetrów.

- W przyszłości, jeśli w ogóle czeka nas jakaś przyszłość - syknął jej prosto do ucha pełnym nienawiści głosem - będziesz robiła dokładnie to, co ci powiem, i to natychmiast. Czy wyrażam się dość jasno, panno Trent?

- Jak najbardziej. A teraz pozwól, że ja ci coś powiem. Trafiłeś ze swoimi groźbami na niewłaściwą kobietę. Och! - Syknęła z bólu, gdy uścisk ponownie przybrał na sile.

- Szsz! - Uniósł palec w ostrzegawczym geście i tym razem usłuchała.

Z korytarza dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi. Spojrzawszy na Jamesa dostrzegła, jak jego twarz przybiera wyraz czujności, a oczy zwięzają się niczym u kota. Czują, jak napina się to wspinałe, rzeźbione w stali ciało, będące tak blisko niej, że ich uda i biodra ocierały się o siebie.

Ciagnąc ją za sobą, wyłączył światło, podszedł do okna i odrobinę rozsunał żaluzje. Ponad jego ramieniem dojrzała oddalającą się w pośpiechu sylwetkę.

- To tylko Jerry - wyszeptała.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Wyjeżdżamy. Natychmiast.  
 - Jak to wyjeżdżamy? - Patrzyła na niego oniemiała.  
 - Wynosimy się, i to już. Nie mogę wyrazić się już jaśniej, nawet na użytek tej jedynej szarej komórki, jaką posiadasz. Pośpieszmy się, zanim twój przyjacielski pilot nie powróci tu z posiłkami.

Szarpnął ją za nadgarstek, ale mocno zaparła się nogami o podłogę.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi.

- Nie ma czasu.

- W takim razie będziesz musiał mnie nieść. - Skrzyżowała ramiona.

Mruknął coś wściekle pod nosem.

- Chodzi o to, że sama jedna, bez niczyjej pomocy, zrujnowałaś całą moją jednoosobową operację inwigilacyjną.

- Twoją co? - Dany otworzyła usta ze zdziwienia.

- Tak. - Obdarował ją niezbyt miłym uśmiechem.  
 - Trafiłem do tego wykopaliska dzień wcześniej niż ty. Wczoraj wieczorem, kiedy ty spałaś bezpiecznie w łóżeczku, wybrałem się na mały spacerek przy świetle księżycy, który potwierdził to, co już podejrzewałem: twój przyjaciel Somers siedzi w tym po uszy!

- Jerry?!

- To on płaci. Założę się, że ta jego sztywna walizeczka, z którą się nigdy nie rozstaje, jest pełna nowiutkich banknotów dolarowych.

- Ależ to niemożliwe! - Potrząsnęła w oszołomieniu głową. - Nie wierzę ci.

- Przepraszam, że rozbiłem w drobny mak twoje wyobrażenia o nim. Najwyraźniej pociąga cię ta jego niby-uczciwość i brak doświadczenia.

- Jerry nie pociąga mnie w żaden sposób - odparowała ze złością. - Pozwól sobie przypomnieć, że jestem zaręczona.

- Może to ty sama powinnaś sobie o tym przypomnieć - odparł ze spokojem. - Jeśli sądzisz, że



ten twój Marcus, którym nas zanudzałaś na śmierć, pochwaliłby to, jak robisz słodkie oczy do tego faceta, to twoja sprawa. - Pomimo oburzenia Dany ciągnął dalej. - Nie byłem jedynym, który wybrał się wczoraj wieczorem na przechadzkę po kolacji i stałem tuż za nim, kiedy spotkał się z tym facetem w tropikalnym kapeluszu.

- Znasz go?

- Spotkaliśmy się kiedyś. - Twarz Jamesa przypominała granitową maskę. - Ostatni raz, kiedy mieliśmy ze sobą przyjemność, wypruwał wnętrzności ze świątyni Majów w Gwatemali.

- Ojej! - Dziewczyna nadal obserwowała go czujnie.

- Słuchaj. - Był wyraźnie zniecierpliwiony. Ponownie zerknął przez żaluzje. - Skończymy tę rozmowę w bezpieczniejszym miejscu. Tutaj znajdujemy się jak pod ostrzałem... żadnych bogatych koneserów, kulturalnych właścicieli galerii, tylko ludzie, którzy gotowi są zabić z łatwością, z jaką ja rozgniatam muchę. - Klasnął w dłonie, co sprawiło, że żołądek podszedł jej do gardła. - Jesteś bardzo daleko od swojego świata, panienko.

- W przeciwieństwie do ciebie? - warknęła.

- Tak, w przeciwieństwie do mnie.

Znowu podszedł do okna, a ona przyglądała mu się z niechęcią. Jego arogancja widoczna była na każdym kroku - ze sposobu, w jaki się zachowywał, w jaki na nią patrzył... Mówił bardzo przekonująco, ale czy mogła mu ufać? Jakie io zresztą miało znaczenie, skoro i tak nie mogła się od niego uwolnić - był znacznie wyższy, cięższy i większy od niej.

- Słuchaj, ja... - zaczęła, lecz przerwał jej brutalnie.

- Idziesz z własnej woli, czy mam użyć siły? - Zrobił krok w jej kierunku.

- Nie! - Cofnęła się w panice. - Nie pójdę. Na pewno należysz do tego gangu. Tak, nie mam wątpliwości. - W jej oczach pojawiła się przerażająca pewność. - Chcesz mnie porwać!

Już wciągnęła powietrze, by krzyknąć, lecz on przyciągnął ją szybko do siebie i zakrył dłonią usta. Wściekle kręciła głową w lewo i prawo, a kiedy uścisk się wzmocnił, ugryzła go z całej siły. Zaklął siarczyście i gwałtownie cofnął rękę. Dysząc ciężko, mierzyli się wzrokiem w przyćmionym świetle.

- Czy mógłbyś nie używać takiego języka? - odezwała się lodowatym głosem Dany. - Jestem przyzwyczajona do towarzystwa dżentelmenów, a oni nie...

- Przepraszam, jeśli uraziłem twoje delikatne uczucia, kochanie, ale obawiam się, że jeśli spędzę więcej czasu w twoim towarzystwie, usłyszysz dużo gorsze rzeczy. Tom ostrzegał mnie, ale nawet on nie doceniał tego, jak...

- Tom? Masz namyśli dziadka? - Jej topazowe oczy zaokrągliły się. - Ty... ty go znasz?

- Owszem, mam tę wątpliwą przyjemność - odparł ponuro. - Obiecałem mu wprawdzie, że przywiozę mu wnuczkę z powrotem całą i zdrową, ale nie zdawałem sobie sprawy, że będę miał do czynienia z taką idiotką.

- Obiecałeś... - powtórzyła powoli. - Czy to znaczy, że on cię wysłał, żebyś mnie pilnował? Nie ufał mi? - Głos drżał jej mimo woli.

- Że nie wpakujesz się w kłopoty? Miał rację, że ci nie ufał. Tylko czemu, do diabła, nie uszczęśliwił tą robotą twojego drogiego narzeczonego?

Ponieważ Marcus byłby bezradny jak dziecko w tego typu sytuacji, pomyślała Dany.

- Ale jeśli mam dotrzymać danego mu słowa, musimy ruszać i to już! - Wyciągnął rękę, na której widniały ślady dwóch równiutkich rzędów zębów.

- W porządku - wymamrotała - tylko skończę pakować swoje rzeczy.

- Rzeczy! - Zaśmiał się ostro. - Dziecinko, będziesz miała szczęście, jeśli wyniesiesz stąd cało skórę. - Rzucił jej leżącą na łóżku torbę podręczną. - Możesz wziąć to plus aparat fotograficzny.

Rozejrzała się dookoła nerwowo.

- O, nie! Musiałam go upuścić, kiedy mnie ciągnęłaś - dodała z niechęcią.

- Czy życzysz sobie, żebym po niego wrócił?

- Uśmiechnął się serdecznie.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to byłby jakiś dowód.

Wzruszył ramionami.

- O dowody będę się martwił później. Chodźmy już.

- Ale dokąd?

- Chciałbym wziąć jeden z dzipów, ale ich siatka jest tak rozległa, że nie ujechawszy dziesięciu mil, trafilibyśmy na jakiś zawał na drodze albo złapałibyśmy gumę na najeżonej kolcami taśmie.

Dany poczuła, że robi jej się słabo.

- Więc popłyniemy rzeką?

Potrząsnął głową.

- To zbyt wolne. Poza tym o ile ja mógłbym się wtopić w otoczenie, o tyle ty z tymi swoimi włosami... Nie, przedostaniemy się do pasa startowego. Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakiś samolot.

- To znaczy, że wylcimy stąd? - Jej głos przeszedł w dziwny pisk.

Ku jej zdziwieniu, zamiast dociąć jej złośliwie, uśmiechnął się szeroko, ukazując zdrowe, białe zęby, a w jego zielonych oczach mignął złośliwy błysk.

- Panam, pierwsza klasa. Coś jeszcze, skarbie?

-Ale...

- Wiesz co? Za dużo mówisz.

Chwyciwszy ją za łokcie, przyciągnął do siebie gwałtownie. Próbowwała protestować, a wtedy poczuła jego usta na swoich - dzikie i niepohamowane. Starła się zacisnąć mocno wargi, ale było za późno. Jego wargi bezwzględnie zmusiły ją do rozchylenia ust, a język, nieproszony, wdarł się do środka i sycił delikatną słodyczą.

Jak on śmiał? Ogarnęło ją uczucie wściekłości, lecz gdzieś wewnątrz, w jej żyłach pulsowało coś jeszcze, coś zupełnie jej obcego - gorącego, tajemniczego i przerażającego.

Kiedy ją w końcu wypuścił z objęć, czuła się tak, jak gdyby całe jej ciało, nie tylko usta, poddane zostało gwałtowi. Przywarła do niego z niewidzącym wzrokiem utkwionym przed siebie. Wstrząsnął nią potężny dreszcz. Przez sekundę patrzyli sobie prosto w oczy, po czym James odsunął ją szybko.

- Nigdy więcej tego nie rób! - wysapała Dany. Jej piersi falowały, gdy dysząc z trudem chwyciła oddech.

- Ależ, kochanie - uśmiechnął się do niej bez cienia skruchy - przynajmniej udało mi się choć na chwilę zamknąć ci usta.

Wierzchem dłoni dotknęła opuchniętych warg.

- Gdyby mój narzeczony był tutaj, nigdy byś nie...

- Ach, Średniowieczny Marcus. - Posłała mu złowieszcze spojrzenie, lecz on mówił dalej głosem pełnym zimnej pogardy. - Ale skoro ja jestem tutaj, a on siedzi bezpiecznie w Oksfordzie, będziesz się stosowała do moich reguł. A jeśli nie masz ochoty na powtórkę tego, co było przed chwilą, lepiej trzymaj język na wodzy. A teraz ruszajmy. - Bezdźwięcznie otworzył drzwi.

Zapadał już tropikalny zmierzch, gdy dotarli do skraju pasa startowego - zwykłej przecinki pośród drzew, wykonanej z myślą o tych turystach, którzy wybierali jednodniową podróż z klimatyzacją ze stolicy jako najlepszy sposób zgłębienia tajników lasu. Dwa baraki z blachy falistej, zaczynające korodować w wilgotnym powietrzu, służyły jako hale przylotów i odlotów, zaś trzy jednosilnikowe samoloty, przerażająco małe jak na gust Dany, stały w rzędach przy końcu pasa startowego.

James zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadła na niego. Stał w bezruchu, wyężdżając wzrok.

- O co chodzi? - wyszeptwała.

- Zastanawiam się, który samolot wziąć. Chyba Lockheed.

- Jak to, masz zamiar ukraść któryś z nich?

- Mniej więcej tak to wygląda.

- Czy... czy umiesz latać? - Głośno przełknęła ślinę. Odwróciwszy się, spojrzał na nią.

- Skończyłem specjalny kurs roztrzaskiwania samolotów... tak to przynajmniej określił mój instruktor, kiedy rozwaliłem trzeci samolot treningowy w ciągu tygodnia. Tylko żartuję - dodał, widząc jej przerażony wzrok. Nagle uśmiech zniknął z jego warg. - Dobra, idziemy.

Korzystając z osłony drzew, okrążyli pas startowy, tak by zbliżyć się do samolotów. Snopy żółtego światła padały z uchylonych okien baraków, a ich uszu dobiegała muzyka pop z trzeszczącego radia.

Pochyliwszy się nisko, James przebiegł przez trawnik. Dany, dysząc ciężko, poszła w jego ślady. Wdrapał się na skrzydło samolotu i wciągnął ją za sobą. Otworzył drzwiczki do kabiny i wskoczył do środka. Po chwili wyrżał.

- Wszystko gra. Właż.

Zdażyła jedynie poczuć ukłucie bólu, gdy uderzyła kolaniem o drzwi. Popchnął ją bezceremonialnie na jeden z foteli.

- Zapnij pasy.

Podczas gdy ona niezdarnie guzdrała się z pasami, on wsunął się na siedzenie pilota, a w chwilę później silnik zakaszał, zatrzeszczał i z rykiem obudził się do życia.

Małe sylwetki ukazały się w drzwiach najbliższego baraku i, machając rękoma, poczęły biec w ich stronę. Jednak samolot już kołował i pędził po pasie startowym, podskakując na każdym wyboju i dziurze w rozeschniętej ziemi. Maszyna zawróciła i pomknęła z powrotem. Jeszcze jeden wstrząs i wreszcie oderwali się od ziemi. Wznosząc się miarowo, skierowali się na zachód.

- W porządku? - Rzucił jej przez ramię szybkie spojrzenie.

Dany, której panika przerodziła się nagle w pełne entuzjazmu uniesienie, uśmiechnęła się do niego.

- W porządku.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, po czym skierował wzrok na zegarek.

- Powinniśmy wylądować w Santa Gara za mniej więcej godzinę.

Za godzinę! Pójdzie na policję, wykona triumfalny telefon do dziadka, potem hotel, cudowna, długa kąpiel... A jutro odleci do Londynu i już nigdy więcej nie zobaczy pana Nicholasa Jamesa.

Utkwiła wzrok w jego karku, akurat w miejscu, gdzie pukiel czarnych włosów, może odrobinę przydługi, skręcał się w lok. Taki kochany, maty loczek... Dany z przerażeniem uświadomiła sobie, jak wielką ochotę ma okręcić go sobie wokół palca. Czym prędzej przeniosła wzrok na tablicę rozdzielczą.

Nagle coś zaczęło się dziać. Zapaliła się czerwona lampka, zgasła, zapaliła się ponownie, tym razem na stałe. Dany usłyszała przekleństwo, dźwięk dławiącego się silnika. Ku jej przerażeniu kabina napełniła się dymem i samolot zaczął ostro nurkować. Podczas gdy James zmagał się ze sterami, ona siedziała skamieniała, kurczowo trzymając się fotela i patrzyła, jak z każdym ułamkiem sekundy zbliża się do nich ciemnozielona ściana lasu.

Rozległ się potworny zgrzyt. Kadłub samolotu zdeirzył się z wysuwającymi się ku nim łapczywie gałęziami drzew. Świat przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni, jeszcze raz silnie zakołysało i zatrzymali się, pochyleni do przodu pod ostrym kątem.

Wpółprzytomna, dysząc nerwowo, opadła na oparcie fotela. Świat wokół niej zawirował. Jak przez mgłę zobaczyła pochylającą się nad nią postać, unoszącą jej twarz ku górze,

- Dany, wszystko w porządku? - Jego głos zabrzmiał szorstko.

- Tak, chyba tak. - Energicznie poruszyła rękoma i nogami i przekonała się, że jakimś cudem jeszcze żyje.

- Co się stało?

- Silnik się zapalił, a mieliśmy tylko jeden - odparł krótko. - No już, ruszaj się. - Rozpiął jej pas, lecz ona wtuliła się głębiej w fotel.

- Nie, nie mogę - pisnęła płaczliwie.

- Musisz. Jeśli w zbiornikach znajduje się jeszcze paliwo, w każdej chwili możemy wylecieć w powietrze.

Otworzył drzwi od kabiny i, postawiwszy ją ostrym szarpnięciem na nogi, wypchnął na to, co pozostało po skrzydle. W dalszym ciągu ją podtrzymując, zeskoczył na dół i pozwolił jej ześlizgnąć się po swoim ciele. Przez chwilę znajdowała się w bezpiecznym schronieniu jego ramion. Zwolnił uścisk i odciągnął ją od kadłuba.

Znajdowali się na małej polance na brzegu rzeki. Nos samolotu zarył się w miękkie błoto tuż przy linii wody. Dookoła otaczały ich ogromne, czerniejące na tle nieba drzewa. Gdyby tak rozbili się o nie...

Dany spojrzała na Jamesa ogromnymi oczyma.

- Uratowałeś... mi życie.

Opuściła głowę i, przygryzłszy wargi, zakryła rękoma papierowo bladą twarz. Przez moment zdawało jej się, że czuje dłoń delikatnie głaszczącą ją po włosach, lecz już po chwili doszła do wniosku, że to tylko złudzenie.

- Mniejsza o twoje życie, skarbie. Miałem pełne ręce roboty, ratując swoje własne. A teraz przestań już się nad sobą rozczulać, to pójdę i ocenię wielkość uszkodzenia. - Z kieszeni dzinsów wyrzebał cienką jak opłatek latarkę.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bezwładnie opadła na brzeg rzeki, obserwując malutki snop światła przemieszczający się po samolocie. W końcu James wrócił. Zgasił latarkę i zapadła wokół nich absolutna ciemność, rozjaśniona jedynie bladym błyskiem tafli wodnej.

- Mieliśmy szczęście - rzekł lakonicznie.

Szczęście! Dany z trudem powstrzymała atak śmiechu.

- Kiedy schodziliśmy w dół, skrzydła były na wpół oderwane, tak więc przy lądowaniu zbiorniki paliwa

były już właściwie puste. W przeciwnym razie... - Nie dokończył zdania, a ją znowu ogarnęły mdłości na samą myśl o tym, co mogło się wydarzyć.

- Naprawisz to, prawda? To znaczy samolot?  
- Wzrusza mnie twoja wiara we mnie. - Uśmiechnął się niewesoło. - Ale nawet gdybym mógł to zrobić, co posłużyłoby nam za paliwo? Woda z rzeki?

- Przepraszam. Idiotka ze mnie.  
- To nic nowego.  
- Po prostu nie jestem w stanie logicznie myśleć - wymamrotała przygnębiona. Czuła się oszołomiona wszystkimi drobnymi odgłosami nocy, odbijającymi się echem w jej głowie. - Co zatem zrobimy?

Spomiędzy drzew dobiegł ją cichy szelest i oczyma wyobraźni ujrzęła leśnego jaguara skradającego się po zdobycz. Gramoląc się, stanęła na nogi. -

- Nie podoba mi się tutaj.  
- Czyżby mi się wydawało, czy też nie dalej jak wczoraj mówiłaś tej kreaturze, Somersowi, że nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć prawdziwy las?

- Och, zamknij się, do cholery!  
Kopnęła nogą niewidoczną kępkę gąbczastej trawy, wyobrażając sobie, że to jego głowa.

- W każdym razie - kontynuował zniechęcony głos - możemy w miarę bezpiecznie przenocować w samolocie. Aż do świtu nikt nie będzie nas szukał.  
- Zniknął w kabinie, tym razem pozostawiając ją własnym siłom.

Gdy dołączyła do niego, zupełnie bez tchu, zastała go w tyle samolotu, opartego na kolanach i łokciach. Spojrzył przez ramię, a w jego zielonych oczach odbijało się blade światło latarki. Przypominał gigantycznego kota na łowach.

- Masz tutaj koc. Owiń się nim. - W błędnym świetle lśniący wzór koca błyszczał intensywnie. James uniósł do góry jakąś butelkę. - A tutaj mamy trochę miejscowego białego rumu. W sytuacji kryzysowej da się wypić. - Skrzywił się z niesmakiem.



- Ale nie tak dobry jak bourbon - wyrwało jej się mimochodem, a on uniósł do góry brwi.

- A więc panna Trent uważnie mnie obserwowała. To dobrze. Podoba mi się, kiedy moje kobiety wiedzą, co lubię.

- Masz na myśli alkohol?

Na widok jego zdawkowego uśmiechu miała ochotę odgryźć sobie ten niewyparzony język.

- Mam na myśli wszystko.

- Ja nie jestem twoją kobietą - odparowała, czując, jak pieką ją policzki.

- Ależ jesteś. APrzynajmniej dopóty, dopóki nie uda mi się wydostać nas z tego cholernego bagna, w jakie nas wpakowałaś.

- Ja nas wpakowałam? To ty rozbiłeś samolot.

- Może zechciałabyś to inaczej ująć. Masz na myśli to, że sprowadziłem go na jedyną polanę w obrębie Bóg wie ilu kilometrów dookoła?

Lodowaty ton jego głosu powinien całkowicie ją zmrozić, ale fakt, że miał rację, jeszcze bardziej ją rozwścieczył.

- Gdybyś nie wybrał samolotu z uszkodzonym silnikiem...

-Och, przepraszam, zapomniałem przeprowadzić przed startem szczegółowego przeglądu maszyny - oświadczył sarkastycznie. - Czy mógłbym ci również przypomnieć, że znajdujemy się tutaj wyłącznie dzięki twojej niewyobrażalnej głupocie?

- Jeśli to w ten sposób odbierasz, dziwię się, że po prostu nie odejdziesz i nie zostawisz mnie.

- Nie kuś mnie, skarbie...

-I nie mów do mnie „skarbie” tym swoim fałszywym głosem.

- Właściwie mógłbym to zrobić, skarbie. Nie zależy mi na towarzystwie, a już najmniej na twoim. - Spojrzał na nią tak, jak gdyby właśnie wpełzła z rzeki na obślizgłych odnóżach. - Słuchaj - dodał po chwili - obydwójce mamy już dosyć na dzisiaj. Nie znosisz mnie...

- Istotnie.

- A ja... no cóż, powiedzmy, że w pełni odwzajemniam twoje uczucie. Więc dajmy sobie już spokój na dzisiaj, zgoda?

- Bardzo mi to odpowiada - wymamrotała Dany z ulgą, że wreszcie położył tamę tym bezsensownym sprzeczkom.

Bezbarwna poczwarka, jaką był pan James, przeobraziła się w mężczyznę, który stanowił dla mej absolutną zagadkę. Jedyne, co wyczuwała bardzo wyraźnie, pomimo ograniczonej znajomości tego gatunku ludzi, to fakt, że był on nieokrzesany, twardy i bardzo niebezpieczny.

- Wypij trochę tego świństwa. - Podał jej odkręconą butelkę rumu.

- Nie, dziękuję - odparła sztywno.

Gwałtownym ruchem podsunął butelkę, rozlewając parę kropli płynu.

- Wypij to! - Stanął nad nią wyprostowany.

Czuła się zbyt słabo, by ponownie ryzykować wybuch gniewu z jego strony. Przyrzekając sobie w duchu, że już nigdy więcej nie da mu się sterroryzować, posłusznie przełknęła parę łyków, z trudem chwytając oddech, gdy mocny trunek palił jej gardło. Oddała mu butelkę.

- Dzięki. - Pociągnął kilka łyków. - Lepiej się ułóż wygodnie.

- Do snu? Nie jestem zmęczona.

- Masz jakieś inne pomysły? - spytał pełnym słodyczy głosem.

Dany, wściekła na siebie, odwróciła od niego twarz.

Najwyraźniej należał do mężczyzn, którzy każdą kobietę traktują jako wyzwanie seksualne. Nawet teraz, kiedy dopiero co wylądował awaryjnie i ledwo uszedł z życiem, nie mógł się oprzeć pokusie podrywania jej. Marcus nie gustował w tego typu samczym zachowaniu. Nigdy nie wywierał na niej żadnej presji, jeśli chodzi o seks i był to jeden z powodów, dla których czuła się z nim tak bezpiecznie. Czy równie łatwo da sobie radę z tym mężczyzną?

Jednakże gdy spojrzała na niego ukradkiem, zauważyła, że zacisnął wargi z wyrazem niechęci. Może on również był na siebie zły za to, że pozwolił sobie na tę frywolną wymianę zdań, lub, co bardziej prawdopodobne, rzeczywiście nie mógł jej ścierpieć.

Zaczęła owijać się kocem.

- . - Czy jest jeszcze coś do przykrycia?
- Nie widzę. A co, zimno ci?
- Nie, dla ciebie.
- Nic mi nie będzie - powiedział bardzo formalnie.
- Mimo to, dzięki.

Siedzieli blisko siebie. Czuła na twarzy jego ciepły oddech, dochodził ją delikatny aromat mydła mieszający się z intensywnym zapachem męskości. Czubkiem języka oblizwała wyschnięte wargi.

- Cóż... w takim razie... ułożę się do snu. - Energetycznie położyła się na twardej, metalowej podłodze za fotelami.
- Znalazłem pusty plecak. - Pochylił się nad nią.
- Może ci posłużyć za poduszkę.

Wsunął jej plecak pod głowę i przyglądał się dziewczynie w wąskim świetle latarki. Sam był jedynie ciemnym kształtem na tle bladego wnętrza samolotu.

W końcu odwrócił się i usłyszała ciche skrzypnięcie skóry, gdy opadł na jeden z foteli. Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Ziewnęła., a oczy same zaczęły się zamykać.

- Dobranoc, panie James.
- Nick. Myślę, że od tej chwili możemy dać sobie spokój z panem Jamesem.

Jasne, powinna się była tego domyślić.

- To znaczy, że to nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

-I tak, i nie.

Co on miał na myśli?

- Więc po co ta maskarada z panem Jamesem? Jesteś może jakimś tajnym agentem?

- Boże uchwaj, nie. - Usłyszała cichy śmiech.

-Więc czemu?

- Kiedy twój dziadek mnie do tego .namówił, pomyślałem, że równie dobrze mógłbym urozmaicić sobie nudę pilnowania ciebie, powęszywszy odrobinę na własny rachunek.

- Najwyraźniej dobrze się orientujesz w lesie.

- Może dlatego, że spędziłem tu wiele czasu. Jeśli chcesz wiedzieć, panno Ciekawska, pracowałem jako fotoreporter specjalizujący się w tematyce wojennej. Zanim tego nie rzuciłem, przez dziesięć lat fotografowałem większość walk toczących się w Ameryce Środkowej.

- A dlaczego to rzuciłeś?

- Zadajesz zbyt wiele pytań.

Ton jego głosu zdecydowanie zniechęcał do dalszej konwersacji, ale coś więcej niż zwykła ciekawość kazała Dany brnąć dalej w to pole minowe.

- Podejrzewam, że w końcu zdałeś sobie sprawę, jakie to niebezpieczne.

Przez moment zapanowała cisza.

- To fakt, na pewno. Myślę jednak, że prawdziwym powodem było to, że wreszcie musiałem przyznać przed samym sobą, że moja jednoosobowa misja zbawienia świata poprzez pokazywanie ludziom, jak straszna jest wojna, była skazana na niepowodzenie. Nie wziętem bowiem pod uwagę jednej rzeczy.

- Jakiej?

- Natury ludzkiej.

- To bardzo cyniczny punkt widzenia.

- Naprawdę? Gdybyś widziała tyle ciemnych stron życia co ja, myślałabyś tak samo. - Nagle przerwał. Dany niemalże czuła obecność cieni straszliwych rzeczy uwiecznionych jego obiektywem. - Ale nie przejmuj się tym. - W jego głosie pojawiła się nagle nie skrywana pogarda. - Kiedy już cię stąd wydostanę, będziesz się mogła bezpiecznie zamknąć w wieży z kości słoniowej Średniowiecznego Marcusa i nigdy więcej nie wracać do rzeczywistości.

- Nie znasz Marcusa- zaprotestowała gorąco. - Nic nie wiesz o jego życiu.

- Ale się domyślałam.

- Tak, cóż...

Powinna pokazać temu nikczemnemu człowiekowi, gdzie jego miejsce, powiedzieć mu, że Marcus wart jest dziesięciu takich jak on, ale nagle poczuła się zbyt zmęczona.

- Nie wyjawiałeś jeszcze swojego prawdziwego nazwiska - rzekła zamiast tego.

- Nicholas James Devlin.

- Nicholas James Dev... - powtórzyła, po czym usiadła gwałtownie z szeroko otwartymi oczyma. - Czy to znaczy, że ty jesteś Nick Devlin?

- Do pani usług.

- Ten sławny Nick Devlin?

- A czy istnieje jakiś inny? - spytał z niedbałą nonszalancją.

- Czytałam o tobie w kronikach towarzyskich... podobno co tydzień pokazujesz się z inną dziewczyną.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co czytasz w gazetach, kochanie. Dokładnie pamiętam... zaraz, kto to był? W każdym razie ona utrzymała się przez dwa tygodnie.

W ciemności Dany ukradkiem położyła prawą dłoń na palcach lewej, przykrywając pierścionek od Marcusa. Czy chciała w ten sposób ochronić pierścionek, czy też samą siebie - tego nie była pewna.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz - odezwała się chłodno. - Jestem tu z tobą uwięziona, ale nie życzę sobie, żebyś praktykował na mnie swoją sztukę uwodzenia.

- Kochanie - dobiegł ją leniwy głos - kto tu potrzebuje praktyki? - Palce Dany zacisnęły się mocniej na pierścionku, tak że wpił jej się w skórę. - Ale nie musisz trząść się ze strachu. Kiedy zgodziłem się wypełnić to zadanie, powiedziałem Tomowi, że z tego, co o tobie słyszałem, zdecydowanie nie jesteś w moim typie.

- Kamień spadł mi z serca - odparowała.
- Nasza krótka znajomość nie przyczyniła się bynajmniej do zmiany mego zdania. Sposób, w jaki zareagowałaś na ten jedyny pocałunek w hotelu, wręcz je potwierdził.
- C-co masz na myśli? - spytała niepewnie.
- Widzisz, skarbie, wolę kobiety, które po prostu są... kobietami.

scandalous

## ROZDZIAŁ TRZECI

Blade światło padało na jej twarz. Dany przekreśliła się niezdarnie na plecy, po czym zmarszczyła brwi, patrząc w zdumieniu na hotelowy sufit, który przez jedną noc przeistoczył się w metalowe, beczkowate sklepienie. Gdy w chwilę później przypomniała sobie, co zaszło, usiadła powoli, rozcierając kark.

- Nick - wyszeptła cichutko - śpisz?

Nie było odpowiedzi - pewnie jeszcze śpi. Jednak kiedy wstała, garbiąc się w ciasnocie kabiny, zobaczyła, że fotel, na którym się wczoraj ułożył do snu, jest pusty. Pochyliła się, by dotknąć siedzenia i odkryła, że tapicerka jest zimna. Odszedł. Spełnił swoją groźbę i zostawił ją!

Stała jak skamieniała, sparaliżowana rosnącym w niej przerażeniem. Jasne, powinna się była tego domyślić. Wczoraj wieczorem sam jej dał do zrozumienia, że wyznaje filozofię „pokochaj i porzuć”. Cóż, najwyraźniej ją zostawił nawet bez gry wstępnej. Jak również bez skrupułów, pomyślała z goryczą.

Drzwi do kabiny stały otworem. Przystanąła w progu, po czym skoczyła, lądując na czworakach na miękkiej ziemi i ostrożnie się wyprostowała. W słabym świetle zwiastującym brzask nad rzeką unosiła się delikatna mgiełka, sprawiając wrażenie, jak gdyby drzewa i krzewy kwitowały swobodnie w powietrzu. Wokół rozlegały się różnorodne dźwięki - ciche skrzypnięcia, ukradkowe szelesty - które sprawiły, że zaschło jej w ustach.

Nagle z jakiegoś blisko położonego miejsca w dole rzeki dobiegły ją głośniejsze pluski. Trzymając strach na wodzy, zaczęła przedzierać się przez bujne zarośla.

W pewnej chwili serce zadrżało jej z radości. Nick wcale jej nie zostawił. Kapał się w rzece i w tej właśnie chwili brnął z powrotem do brzegu. Zrobiła krok do przodu, po czym gwałtownie stanęła w bezruchu. Gdy wyłonił się z białej jak mleko, sięgającej pasa mgły, a światło zamigotało na jego skórze, przeistaczając ją w marmur, uświadomiła sobie, że był nagi. Jego gibkie, umięśnione ciało, wspinał się niczym grecki posąg, było tak bardzo męskie...

Nie miała dość siły, żeby się ruszyć. Wpatrywała się w niego czując, jak krew pulsuje jej w skroniach. Kiedy dotarł wreszcie do brzegu, zmusiła się do powrotu na polanę, na oślep przedzierając się przez zarośla.

Słyszając, jak powoli zbliża się ku niej, spojrzała do góry, z niechęcią przerywając szczegółową obserwację mieniącego się chrząszcza. Zapinał właśnie skórzany pas. Czarną koszulkę polo przewiesił niedbale przez ramię, na którym, podobnie jak w zmierzwionych włosach, wciąż błyszczały krople wody przypominające małe perełki. Nagle poczuła nieodpartą chęć, by zanurzyć palce w tej potarganej czuprynie.

- Co się stało? - Musiał obserwować ją uważnie i dostrzegł delikatny dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem.

- Nic. Tylko... zdrętwiał mi kark.

- Daj, to ci rozmasuję.

Rzuciwszy koszulkę, stanął za nią, lecz ona skuliła się, nie mając zupełnie ochoty, by te długie, zimne palce dotykały jej skóry.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Nic mi nie będzie.

- Nie wygłupiaj się - odparł szorstko. - Mamy sporo bagażu, a ja nie zamierzam robić za tragarza-himalaista, podczas kiedy ty będziesz sobie szła z tyłu spacerkiem z rękami w kieszeniach.

- Ach, o to chodzi. - Roześmiała się gorzko. - Przepraszam bardzo. Myślałam, że choć trochę przejąłeś się tym, że ledwo ruszam szyją, ale powinnam być mądrzejsza. Ależ ze mnie idiotka.



- Zgadza się - odparł lakonicznie i, zanim zdążyła się wycofać, pchnął ją delikatnie na trawę. Przykucnąwszy obok, dotknął jej mięśni.

- Drzysz. O co chodzi tym razem?

- Ja... - Przełknęła głośno ślinę. - Po prostu kiedy się obudziłam, pomyślałam, że odszedłeś.

Naturalnie nie była to prawdziwa przyczyna wstrząsających jej ciałem dreszczy, ale lepiej, żeby uważał ją za tchórza.

- Kochanie, czy mógłbym coś takiego zrobić? - Roześmiał się cicho.

- Nie wiem. Może - wyszeptwała.

Zaśmiał się ponownie, a ona poczuła ciepły oddech otulający jej szyję, podczas gdy jego palce w dalszym ciągu masowały jej kark.

- Ależ masz zeszywniałe mięśnie. Rozepnij bluzkę, żebym mógł to zrobić, jak trzeba.

- Nie! - Dany kurczowo chwyciła swoją koszulę wojskową.

- Na litość boską, nie bądź taka pruderyjna! Rozepnij się.

Dany powoli odpięła jeden guzik, przeklinając pomysł, żeby wczorajszego popołudnia przed zagłębieniem się w las ściągnąć dla ochłody biustonosz.

- Jeszcze jeden. - Pociągnął za kołnierzyk. - I jeszcze jeden.

Zniecierpliwiony, zsunął jej koszulę w dół aż po łokcie, lecz kiedy palcami musnął łuki piersi, jego ręce zamarły w bezruchu.

- W porządku, wystarczy - oświadczył krótko, a jego palce zadziwiająco delikatnie przesunęły się ku zeszywniałym mięśniom i zaczęły je rozmasowywać.

- Czy już lepiej? - spytał w końcu, a ona poruszyła na próbę ramionami.

- Tak, tak. Dziękuję, Nick.

Wciąż klęcząc, obróciła się ku niemu z uśmiechem, straciła równowagę i padła na niego całym ciężarem. Koszula zsunęła się niżej, a pełne piersi otarły się o jego

atłasową skórę. Poczowała łaskotanie ciemnych, kędzierzawych włosów pokrywających jego pierś. Przez długą chwilę, gdy usiłowali złapać równowagę, patrzyli sobie prosto w oczy, a pierwsze promienie słoneczne rozświetlały ich twarze. Nagle Nick skoczył na równe nogi, pociągając ją za sobą.

- Zapnij się. Chcę jak najprędzej się stąd wynieść - powiedział szorstko, podczas kiedy ona, zawstydzona, niezdarnie walczyła z guzikami. - A dokąd ty się, do diabła, wybierasz? - spytał po chwili, gdy skierowała się w dół rzeki.

- To nie potrwa długo. Przyrzekam - odparła pojednawczo.

- Pytałem, dokąd się wybierasz? — Zatrzymał ją w pół kroku.

- Oczywiście, żeby się umyć. - Tym razem rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Jestem brudna, spocona, więc...

- Będziesz musiała poczekać. Jeśli chciałaś się wykąpać, trzeba było wcześniej wstać. Mówiłem ci, że musimy się stąd wynosić.

- Och, na litość boską - wybuchnęła - ledwo co świta, a ja zaraz wrócę.

- A ja ci mówię - Nick podniósł głos - że będziesz musiała pozostać brudna. Jeżeli mnie to nie przeszkadza, tym bardziej nie powinno tobie.

Kiedy mimo to Dany, uniósłszy brodę w górę, z determinacją usiłowała go minąć, zaklął pod nosem, po czym podniósł ją, zaniósł wzdłuż rzeki do samolotu i tam rzucił na ziemię. Gdy tylko ją puścił, ze złości kopnęła go z całej siły w kostkę. Skrzywił się z bólu, uniósł jej obie ręce do góry i przygwoździł ją do kadłuba samolotu.

- Powtarzam to po raz ostatni, panno Trent. - Za-uważała, że z ogromnym wysiłkiem panuje nad sobą.

- Będziesz robić dokładnie to, co ci powiem, i to bezzwłocznie. Możesz się umyć później. Musimy przeszkadzać samolot i zobaczyć, czy coś nam się przyda. Być

może uszło to twojej uwagi, ale nie mamy jedzenia. Ja potrafię przeżyć w lesie, ale nie jestem pewien, co ty byś powiedziała na pieczoną iguanę lub potrawkę z węża.

Dany wzdygnęła się.

- A jeśli pójdziesz się umyć, stracę cenny czas na pilnowanie ciebie.

- Pilnowanie mnie? A niby po co?

Uniósł ciemne brwi.

- Czyżbyś nie miała nic przeciwko dzieleniu kąpieli z piraniami, pijawkami i karaluchami?

- Wyglądało na to, że tobie kąpiel sprawiała przyjemność - odparła chłodno, przekonana, że próbował ją tylko nastraszyć. - A ja nie zauważyłam żadnych...

- Przerwała nagle, gdy z policzkami oblanymi płomienistym rumieńcem zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała.

- No proszę. - Spojrzał na nią z sardonicznym uśmiechem. - Nie wiedziałem, że ktoś... pilnował mnie.

- Och, nie musisz się martwić - zripostowała. - Nie podglądałam cię. W każdym razie to niesprawiedliwe

- dodała pośpiesznie, w dalszym ciągu czerwona ze wstydu.

- Obawiam się, skarbie, że sprawiedliwość nie ma tutaj nic do rzeczy - odparł chłodno. - W sytuacji takiej jak ta, jedna osoba wydaje rozkazy, a druga je wypełnia. - Zamilkł na moment. - Czy wyrażam się dość jasno?

- Jak najbardziej.

- Więc daruj sobie ten wściekły wyraz twarzy.

- Odetchnął głęboko. - Zwykle jestem bardzo łatwym w kontakcie facetem.

- Naprawdę? - superuprzejmie spytała Dany.

- Tak, naprawdę. Najbardziej otwarty facet na całej zachodniej półkuli. Natomiast ty jesteś wyjątkowo irytującą młodą kobietą i masz okropny wpływ na moją przyjacielską naturę.

- Ty przyjacielski?!

- Co więcej, nie powinno się ciebie samej wypuszczać z wózeczka.

- Ze wszystkich...

- Ale jeśli chcesz spróbować na własną rękę, Santa Clara znajduje się około stu pięćdziesięciu kilometrów w tamtą stronę - wskazał na zieloną ścianę lasu. - Nie mam zamiaru jednak zmierzać w tym kierunku.

- Jak to? - Spojrzała na niego.

- Z dwoma łańcuchami górskimi przecinającymi drogę? - Potrząsnął głową. - Wszystko w porządku, jeśli się nad nimi przelatuje, ale na piechotę...

- Więc dokąd idziesz?

- Do granicy.

- A jak to daleko?

- Gdzieś około sześciu dni forsownego marszu.

Naturalnie w moim tempie.

- Naturalnie.

Sześć dni... Powiedzmy tydzień. Jakim cudem wytrzyma cały tydzień w towarzystwie tego człowieka?

- Więc... - spokojny ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że doskonale wie, o czym myśli Dany - jeśli chcesz spróbować razem ze mną, nie wychylaj się. Jakies wątpliwości?

- Całe mnóstwo. - Popatrzyła na niego, lecz szybko spuściła głowę, spojrzawszy prosto w błyszczące, jaderitowe oczy. - Nie, żadnych wątpliwości. I... Przepraszam - czuła, jakby to słowo zostało z niej wyciągnięte rozpalonymi do czerwoności szczypcami. - Wiem, że od wczoraj zachowuję się jak idiotka.

- Dlaczego tylko od wczoraj?

Swoją pogardą smagnął ją niczym pejczem. Zaciśnęła usta. Typowy Nick Devlin, pomyślała z niechęcią. Bóg jeden wie, jak trudno jej było zmusić wargi do wyartykułowania słowa „przepraszam” pod adresem tego człowieka. Wcale nie potrzebował jej przypominać, jaka była głupia. Oczywiście, że musiała się go trzymać, i to tak blisko, jak jedna z tych pijawek, którymi ją straszył. Wiedziała, że ze wszystkich mężczyzn w Ameryce

Środkowej właśnie ten arogant i pyszałkowaty tyran potrafi wyciągnąć ją stąd, i to pomimo jaguarów, węży i krokodyli. Wstrząsnął nią konwulsyjny dreszcz. Poczowała, jak Nick szorstko przyciąga ją do siebie.

- Nie bój się, Dany. Mówiłem ci już. Przyrzekłem Tomowi, że, piekło czy potop, przywiozę mu ciebie z powrotem.

- Ale... czy ty się nie boisz? - wyszeptwała, wtulona w jego naga pierś.

- Otoczony tysiącami kilometrów kwadratowych dziewiczych południowoamerykańskich lasów? - Roześmiał się ponuro. - Kochanie, tylko głupiec nie byłby pólżywy ze strachu, ale... - przez chwilę jego głos zdradzał podejrzenie - odnoszę wrażenie, że teraz, kiedy mam u swego boku takiego małego, twardego, złotorudego diablaka, dzikie zwierzęta będą szczęśliwe, trzymając się od nas z daleka.

Odsunął ją na wyciągnięcie ramion i spojrzał oczyma, w których wciąż migotał figlarny uśmiech.

- W porządku?

- Tak, dziękuję.

Skinął głową.

- W takim razie zajrzyjmy do środka. - Wskoczył na roztrzaskany kadłub i zniknął w drzwiach do kabiny.

Teraz, w pełnym świetle dziennym, Dany mogła wreszcie ogarnąć wzrokiem tę zgniecioną puszkę po sardynkach, która kiedyś była samolotem. Oczy pociemniały jej z przerażenia, kiedy dotarło do niej, jakie mieli szczęście, że przeżyli. A raczej jakie było jej szczęście, że miała Nicka Devlina jako pilota, gdyż z pewnością niewielu ludzi potrafiłoby bezpiecznie sprowadzić na ziemię tak uszkodzoną maszynę.

Poczowała poranne słońce na twarzy i delikatny wietrzyk we włosach i nagle ogarnęła ją niepohamowana radość z tego, że żyje. To uczucie, którego nigdy przedtem nie doświadczyła, wyraźnie poprawiło jej nastrój.

- Idziesz czy nie?

Ocknęła się na dźwięk uszczypliwego głosu dochodzącego z wnętrza samolotu i wgramoliła na górę do kabiny. Nick siedział skulony w małym pomieszczeniu bagażowym z tyłu samolotu. Obok niego piętrzyły się sterty puszek. Uśmiechnął się do niej przez ramię.

- Masz szczęście. Wygląda na to, że jednak nie będziesz musiała polubić iguany.

Dany usiadła obok niego po turecku i wzięła do ręki parę puszek.

-Wieprzowina z fasolą... ryż z przyprawami.

- Spojrzała na niego zdziwiona. - Skąd to się tutaj wzięło?

Wzruszył ramionami.

- Żelazne porcje? A może zaopatrzenie dla hotelu?

- Ale my nie dostawaliśmy takiego jedzenia.

- Cóż - odparł zirytowany - po prostu bądź wdzięczna. Z tego też się prawdopodobnie będziemy cieszyć - dodał, wskazując na małe pudełko z czerwonym krzyżem i napisem „Pierwsza pomoc” na wieczku. Zabrał się za długą, drewnianą skrzynię i, odbiwszy wieko, gwizdnął przeciągle.

Dany zerknęła mu przez ramię. Ujrzała cały komplet narzędzi: łopaty, siekiery i maczety, morderczo wyglądające długie noże z ostrzami połyskującymi w półmroku.

- Kolejny zestaw awaryjny? - spytała.

- Na to wygląda - odpowiedział, choć nie wydawał się całkownie o tym przekonany.

Wziąwszy jeden z noży, przeciął nim ze świstem powietrze, po czym rzucił go obok puszek.

- Myślę, że ten będzie dobry.

- Będziemy musieli za to wszystko zapłacić - zauważyła Dany.

Przesunęła palec wzdłuż ostrza, po czym gwałtownie go cofnęła, a na opuszcze pokazała się kropelka krwi.

- Na litość boską, zostaw to w spokoju, dobrze? I przestań zrzedzić. Oczywiście, że zapłacimy za

wszystko, co bierzemy. - Odwrócił się do kolejnego pudła.

- I samolot. Musimy... - Nie dokończyła usłyszawszy, jak Nick gwałtownie wciąga powietrze.

- Coś mi się wydaje, że nie zapłacimy za ten samolot ani centa - rzekł cicho. - Domyślam się, że należy do tych łupieżców.

- Skąd wiesz?

- Trafiliśmy na złoto, kochanie. - Odwrócił się powoli i ujrzała stojącą na jego dłoni, błyszczącą w półmroku, przepiękną, złotą figurkę. - Zobacz. Wyciągnął rękę, a ona drżącymi dłońmi wzięła od niego posażek.

Figurka przedstawiała kobietę siedzącą po turecku, w rękę trzymającą kolbę indiańskiej kukurydzy, zaś na kolanach zawinięte dziecko. Jej całe ciało, a w szczególności brzuch, było groteskowo grube, a mimo to wyzierająca spod zrobionego z piór nakrycia głowy twarz o odległym, jakby nie z tego świata, wyrazie była dziwnie uduchowiona.

- Co to jest?

-Prawdopodobnie bogini urodzaju. Kukurydza w jednym ręku, dziecko w drugim. Tak, tak sędzę. Parę lat temu fotografowałem bardzo podobną figurkę, która została wykopana w Jukatanie.

Przyglądała się rozszerzonymi oczyma, jak wyjmował następny owinięty w materiał tobolek. Tym razem była to ogromna gliniana waza o brzegu ozdobionym płasko-rzeźbami przerażających głów zwierzęcych. Za nią pojawiły się kolejne wazy, puchary, dzbany, niektóre inkrustowane w przedziwne wzory. Jeszcze inny pakunek zawierał około tuzina malutkich złotych motyli. Jednego z nich, lekkiego jak piórko, upuścił na jej dłoń, a ona, oniemiała, wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Kiedy ostatni władca Azteków był przetrzymywany w Meksyku przez konkwistadorów jako zakładnik, zażądali oni okupu w postaci całego pokoju wypełnionego złotem. Pośród rzeczy, które przynieśli poddani władcy, znajdowały się setki motyli z bitego złota.

Zaśmiał się przejmująco.

- Chyba to wszystko. - Jeszcze raz przetrząsnął pudło. - Nie, jest jeszcze coś.

Rozwinął materiał i spod jego palców wysunął się złoty łańcuch, na którym wisiała rzeźbiona głowa zwierzęcia. Odgarnął włosy Dany i zawiesił łańcuch na jej szyi. Ciężki metal opadł na jej ciało, a kiedy dziewczyna uniosła do góry kołyszącą się pomiędzy jej piersiami głowę zwierzęcia, ujrzała doskonale uformowaną złotą maskę jaguara z pyskiem rozchylnym w groźnym warknięciu i dwoma okruchami bladezielonego jadeitu zamiast oczu. Wpatrywała się w nią przez chwilę.

- Jest cudowna, prawda? - spytała ochryple.

- Tak. - W jego głosie zabrzmiała jakaś wymuszona nuta i Dany gwałtownie podniosła wzrok, by spojrzeć w tę drugą parę jadeitowozielonych oczu. Jednak on odwrócił się i zaczął z powrotem pakować skarby.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała. - Bierzemy to ze sobą?

- Mamy już dość bagażu. - Wyprostował się, gdy ostatnie motyle zniknęły w tobołku.

- Nie zapomnij o tym. - Podniosła rękę, by odpiąć naszyjnik.

- Zostaw to. Będziemy potrzebowali czegoś jako dowodu. Resztę zakopię.

Wziął łopatę i wspólnie wynieśli pudło na zewnątrz. Nick rozglądał się dookoła, marszcząc brwi.

- Tu będzie dobrze. - Wskazał ogromną, pierzastą kępę bambusa po drugiej stronie polany.

- Ale czy to nie za blisko? To znaczy jeśli znajdą to miejsce...

- Tego nie ma w moich planach - odparł ponuro.

- Ale jeśli mimo to dotrą tutaj, nie przyjdzie im do głowy, że zostawiliśmy tu skarb, ponieważ oni nigdy by tego nie zrobili. A nawet jeśli wezmą to pod uwagę, pójda szukać pomiędzy drzewami, a nie tu, pod nosem.



Metodycznie usunął płaty darni, po czym zaczął kopać w miękkiej ziemi. Dany oparła się o pień drzewa i przyglądała się mu. Ciemny, nie ogolony zarost widoczny na jego brodzie w pełnym słońcu sprawił, że wyglądał uroczo niedbale, co wyraźnie kontrastowało z jego twardą osobowością.

- Co się z tobą dzieje? - Spojrzał na nią nieoczekiwanie, a ona uświadomiła sobie, że bezwiednie się do niego uśmiecha.

- Och, po prostu myślałam o tym, że mógłbyś się ogolić - wygadała się, czerwona ze wstydu.

- Z pewnością ten modny zarost sprawia, że tym trudniej mi się oprzeć.

Patrzyła na niego, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi. Ich oczy spotkały się, a wtedy on zacisnął wargi w pełnym złości grymasie i wściekle wbił łopatę w grudek ziemi.

- Podejrzewam, że Średniowieczny Marcus nigdy nie rozpoczyna dnia bez golenia - zauważył, nie patrząc na nią.

- Istotnie... i byłabym wdzięczna, gdybyś go już nie nazywał w ten sposób - odparła cierpko, ciesząc się jednocześnie, że wraz z powrotem wrogości pomiędzy nimi znów może czuć się bezpiecznie. W ten sposób przynajmniej wiedziała, na czym stoi. Wystarczyło, żeby zmieniło się to choć na chwilę, a już czuła niepewny grunt pod nogami.

Nick położył na miejsce ostatni płat darni i ubił go dokładnie.

- To powinno wystarczyć.

- Ale czy ktokolwiek to znajdzie?

- Na podstawie ostatniego odczytu instrumentów. Dość dobrze orientuję się, gdzie jesteśmy. W przeciwnym razie, może za sto lat jacyś Indianie natrafiliby na to i dziwili się, skąd się tutaj wzięło.

-I nigdy nie dowiedzieliby się, że to my dwoje zakopaliśmy tutaj ten skarb. - Położyła brudne ręce na ziemi.

- Widzę, że wpada pani w filozoficzny nastrój, panno Trent. - Roześmiał się ironicznie.

Odniósł łopatę do samolotu i powrócił z maczetą.

- Dobra, a teraz odrobina kamuflażu. Wskazał na kępę palm. - Przyciągnij tutaj te opadłe liście.

Sam skierował się ku najbliższemu krzakom, ściągnął koszulę i zaczął wycinać gałęzie. -

Dany zgromadziła liście i przesunęła wierzchem dłoni po czole. Dziesięć minut pracy i pot lał się z niej strumieniami. Gdyby ona również mogła zdjąć koszulę, pomyślała z niechęcią, spoglądając na Nicka. Był odwrócony do niej plecami. Pod jedwabistą, pokrytą potem skórą widziała poruszające się rytmicznie mięśnie, kiedy machał ciężkim nożem, zdawałoby się bez najmniejszego wysiłku. Lśniąca skóra, rytm ruchów, ostrze maczety błyszczące w porannym świetle - nagle wszystko to złożyło się w jej umyśle w przedziwny wzór, który zaczął się zamazywać i przemieszczać, aż w końcu ogarnęła ją fala zawrotów głowy, a oddech stał się szybki i płytki. Wtem, równie gwałtownie, wzór się rozsypał w momencie, gdy Nick rzucił nóż, tak że jego ostrze wbiło się w ziemię.

Gdy zaczął ściągać gałęzie, Danny wzięła się w garść i poszła mu pomóc, rozrzucając je po kadłubie. W końcu cofnął się parę kroków.

- To powinno wystarczyć. Przynajmniej jeśli ktoś patrzyłby z góry.

Po raz ostatni wszedł do samolotu i zrzucił na ziemię zapakowany plecak oraz koc, w który zawinął większość puszek. Zeskoczył obok niej. Z dwóch stron tobołka zawiązał pętle.

- Myślisz, że sobie poradzisz?

Dany energicznie podniosła zaimprovizowany plecak, po czym szybko odstawiała go z powrotem. Boże, chyba ważył tonę! Jednakże świadoma obserwujących ją sarkastycznie zielonych oczu, uniosła brodę.

- Oczywiście, że tak. Ale jeszcze moja torba.

- Jest w środku.

Nick zarzucił na plecy swój bagaż z pewnością cięższy i stanął, przyglądając się, jak Danny niezdarnie wkłada ramiona w pętle. Poprzez potarganą grzywkę dostrzegła brązowy skórzany czubek buta stukający niecierpliwie o ziemię.

- Przepraszam, że musisz czekać. - Delikatnie wzmoczyła ramionami. - Podejrzewam, że wolisz podróżować samotnie.

- Zgadza się, skarbie. Żadnych obciążeń - przytaknął pełnym słodyczy głosem. - Podróżuje się wtedy szybciej.

Chwycił maczetę, odwrócił się i zanurkował w zieloną otchłań leśną.

scandalous

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- W porządku. Stop.

Nick zatrzymał się tak gwałtownie, że Dany, która przez ostatnie dwie godziny wlokła się z tyłu ze spuszczoną głową, nieświadoma niczego poza pulsującym bólem pięty i ciekącym po plecach potem, wpadła na niego. Pośpiesznie cofnęła się, mrużąc słowa przeprosin.

Zsunął plecak i stał, prostując ramiona. Ona również uwolniła się od swojego pakunku, zrzucając go na ziemię.

- Jak szyja?

- W porządku. - Była zbyt otepiała z wyczerpania, by mówić.

- To dobrze. - Ledwo na nią spojrział. - Zostań tu, a ja się rozejrzę. Wydaje mi się, że słyszę przed nami szum wody.

Gdy wreszcie poszedł, przedzierając się przez zarośla, nogi Dany spełniły zapowiadaną przez całe popołudnie groźbę i odmówiły posłuszeństwa, zamieniając się w trzęsącą galarete. Dziewczyna opadła na kępę ostrej trawy i leżąc na plecach, patrzyła na leśny baldachim. Tuż nad jej głową grupa szafirowoskrzydłych motyli tańczyła w promieniach słońca, a parę metrów dalej dwa maleńkie kolibry, niczym mrugające srebrne światełka, zanurzały się ekstatycznie w szkarłatne kielichy kwiatów róży chińskiej, strącając na ziemię krople nektaru. Gdziekolwiek nie spojrzeć, tyle było wokół życia, tyle ruchu. Niewidoczne wiązki energii pulsowały wokół niej, sprawiając, że powietrze napełniało się cichym, niemal zatrważającym brzęczeniem.

- Wstawaj.

Wyrwana z marzeń, uniosła głowę i ujrzała Nicka stojącego nad nią z rękami opartymi na biodrach. Ten mężczyzna posiada w sobie identyczny rodzaj energii co las, pomyślała nagle. Nieujarzmiony i niespożyty, tak jak gdyby wytwarzał wokół siebie własne pole elektryczne. I właśnie dlatego boję się go, tak samo jak boję się lasu.

- Idziemy dalej? - Podniosła się sztywno na nogi.

- A chciałaś? - Uniósł pytająco brwi.

Dany usiłowała entuzjastycznie zareagować na perspektywę przejścia kolejnych piętnastu kilometrów, ale jej „oczywiście” zabrzmiało raczej jak słaby pisk.

Jego wąskie usta wygięły się w lekkim uśmiechu. Wziął oba plecaki i ruszył bez słowa.

Dany szła za nim, coraz wyraźniej słysząc plusk płynącej wody. W końcu rozsunęła kępę bambusowych liści, wyszła na sprężystą trawę i stanęła w bezruchu z otwartymi w zachwycie ustami. Wyłaniający się pomiędzy położonych powyżej drzew strumień załamywał się nad wapienną krawędzią i spadał pionowo do głębokiej, okrągłej sadzawki, spływając następnie kaskadami w dół wzgórza. W powietrzu unosiła się delikatna mgiełka, a pod nią, wzdłuż brzegu wody rosły bujne paprocie i kwitnące krzewy.

Na przeciwległym brzegu widniało najwięcej krzewów róży chińskiej, a pomiędzy nimi ogromny stefanotis opuszczał ku wodzie długie, pokryte białymi gwiazdkami kwiatów gałązki. Dany zakołowało się w głowie, gdy pochwyciła w nozdrza odurzający zapach białego, woskowatego kwiecica.

- Och, Nick, tu... tu jest cudownie!

Odwrociła się ku niemu z promiennym uśmiechem i zauważyła, że bacznie ją obserwuje. Było coś tak dziwnego w intensywności tego spojrzenia, że Dany instynktownie poczuła się spięta. Coś groźnego, co leżało pomiędzy nimi niczym uspijony wąż, nagle poruszyło się. A trwało to nie dłużej niż uderzenie ożywio-

nego podnieceniem serca. Już w następnej chwili jego twarz była jak zwykle nieodgadniona i pozbawiona emocji.

- A więc pochwalasz mój wybór miejsca na nocleg?
- Och, tai, jest wspaniale. - Zmusiła się, by jej głos zabrzmiał równie chłodno i bezceremonialnie jak jego.
- To dobrze. - Dany wyczuła delikatną nutkę ironii.
- My, Devlinowie, zawsze staramy się dawać pełną satysfakcję.

Znowu zaczyna... Gdy zaciśnęła usta, odczepił od pasa mały srebrny scyzoryk, rozłożył go, uzyskując miniaturowy otwieracz do konserw i rzucił jej. Złapała w ostatniej chwili.

- Otwórz to, na co masz ochotę. Mnie jest wszystko jedno, co będziemy jedli. I podaj to na zimno - dodał niedbale, widząc jej osłupienie. - Nie będę ryzykował ognia dziś w nocy.

- Jak to? Teraz? - Podniosła głos. - Chcę się umyć. - Jej wzrok powędrował tęsknie ku zimnej, kryształowo przejrzystej wodzie.

- Och, do... - zamruczał coś pod nosem. - Nie zaczynaj od początku. Możesz spędzić całą noc, moczając się tam - wskazał głową sadzawkę - ale teraz jestem głodny. Zorganizuj coś, a ja przez ten czas jeszcze raz się rozejrzę. W tym klimacie trzeba jeść, a my przez cały dzień prawie nic nie mieliśmy w ustach.

- Niby o tym nie wiem? - odparowała. - Zdażyłam jedynie zerwać parę małych owoców z tamtego drzewa.

- Tak, ale uczysz się, prawda? - odparł słodko.

- Przyszłaś natychmiast, kiedy ci kazałem.

- Och, ty po prostu...

Dany, chwyciwszy nóż tak, jak gdyby miała ochotę rozpruć nim czyjś brzuch, podeszła do plecaka i zaczęła przebierać w puszkach, starając się całkowicie ignorować Nicka. Mimo to, kątem oka widziała jego długie nogi wciąż w tym samym miejscu, a kiedy obejrzała się, dostrzegła ślad uśmiešku na jego twarzy. Tego było już za wiele.

- Powiedz mi - syknęła przez zęby - czy jesteś antifeministą w ogóle, czy chodzi tylko o mnie?

- O, kobiety są cudowne... na swoim miejscu.

Dany spojrzała spode łba na puszkę spaghetti.

- To znaczy, jak podejrzewam, przy kuchni. Ideał kobiety jaskiniowej. - Wyniośle potrząsnęła swoją złotorudą grzywą. - Powinnam się była domyślić. Typowy samiec.

- Nie, nie w kuchni. W istocie miałem na myśli zupełnie inne pomieszczenie.

Gdy uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy, odwrócił się na pięcie. Nie pozostawało jej nic innego, jak ponownie zanurzyć się w plecaku.

Do czasu jego powrotu ustawiła na trawie przy brzegu sadzawki dwa duże, płaskie kamienie, a pomiędzy nimi otwartą puszkę ryżu z przyprawami i drugą - z frankfurterkami. Nick niósł pełne dłonie małych, różowych owoców, które wysypał na trawę.

- Cześć! - Dany, która nigdy nie potrafiła długo chować urazy, uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- Przepraszam za brak serwetek.

- No, cóż... - Niespodziewanie odwzajemnił uśmiech, pokazując mocne, białe zęby. - Nigdy jakoś nie przepadałem za tymi różowymi liliami wodnymi. Ale mam nadzieję, że to pomoże.

Sięgnął do plecaka, wyciągnął butelkę białego rumu i postawił ją przy owocach.

- Czy to twoje krzesło? - wskazała na jeden z kamieni.

- Pozwolisz? - Z galanterią przesunął go to tyłu, by mogła usiąść, a dopiero potem sam przycupnął na drugim.

- Obawiam się, że nie mamy również noży i widelców, ale pomyślałam, że możemy używać tego do nabierania ryżu. - Podała mu błyszczący liść stefanotisu. - Zupełnie dobrze się nadaje. Patrz. - Wygarnęła porcję ryżu.

Nick niepewnie spoglądał na ryż.

- Chyba zacznę od kiełbaski. - Wyciągnął frankfurterka i odgryzłszy kawałek, skrzywił się.

- Myślałam, że wszyscy Amerykanie to lubią.

- Jasne. Skwierczące na grzance i polane ketchupem.
- Och, przestań! -jęknęła i roześmiała się.
- Czy wiesz - odezwał się nagle - ze kiedy się śmiejesz, masz tutaj maleńki dołeczek?

Wyciągnął rękę i dotknął kącika jej ust. Pomimo tego, że natychmiast cofnął dłoń i że było to jedynie delikatne muśnięcie palcem, wywołało w niej przedziwne doznania, a skóra zareagowała mrowieniem. Spojrzała w zakłopotaniu, jak Nick z pochyloną głową odgryza następny kęs frankfurterka, po czym pośpiesznie wzięła sobie kolejną porcję ryżu...

- Najadłaś się?
- Tak, dziękuję. - Dany zlizwała z palców resztki soku po egzotycznych zielonych jabłuszkach. - Są naprawdę niezłe.

- Nie należą do moich ulubionych owoców południowych. - Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że nie. Ja wolę ananasy... chociaż nie, mango. Są cudowne... gładka, aromatyczna skórka, a pod nią przepyszna miodowa słodycz. Mmm. - Przy-mknęła oczy. - Mogłabym się w nich kapać.

- Wie pani co, panno Trent? Jest pani sensualistką.

Dany otworzyła oczy i spojrzała na niego. Nie bardzo wiedziała, co to znaczy być sensualistką, ale instynktownie czuła, że jest to niebezpieczne, jeśli Nick Devlin znajduje się w pobliżu.

- A poza tym - kontynuował spokojnym, zdradzieckim szeptem - to brzmi bardziej jak Danielle Trent niż jakiegokolwiek mango, które w życiu widziałem. Wiesz, gładka, aromatyczna skórka, a pod nią przepyszna miodowa słodycz - wyjaśnił, gdy popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

Westchnęła i pośpiesznie pochyliła się do przodu, tak że rozpuszczone włosy przysłoniły jej twarz.

- Nick, wołałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy.
- Czemu nie? Aha - nagle jego głos stał się ostry i nieprzyjemny - z uwagi na Średniowiecznego Marcusa, jak przypuszczam.



- Wcale nie... chociaż, tak.

Ale wcale nie chodziło o Marcusa, a raczej o to, że wszechpotężna bujność lasu dość szczególnie wpływała na ich zmysły. Bała się Nicka, gdy był w tak nieodgadzionym nastroju. Nie, dużo gorzej - bała się swojej własnej reakcji na jego osobę. Nie może mu jednak pozwolić na najłżejsze choćby podejrzenia dotyczące jego wpływu na nią.

- W każdym razie - skupiła się, wstając - nie wydaje mi się, żebym pachniała teraz specjalnie słodko. Chyba pójde się umyć. O ile nie masz nic przeciwko temu - dodała zgryźliwie.

- Absolutnie nic. Masz przedtem ochotę na trochę wody ognistej?

Odkorkował butelkę i wyciągnął do niej, lecz potrząsnęła głową. Wzruszył ramionami i pociągnął łyk, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

- W takim razie idę - powiedziała Dany, lecz wciąż stała w miejscu, w zakłopotaniu bawiąc się guzikami od koszuli. W końcu podeszła do sadzawki, podwinęła rękawy i, przykleknawszy na brzegu, zaczęła ochlapywać twarz i ramiona. Było cudownie - tak chłodno i orzeźwiająco, ale zupełnie jej to nie wystarczało.

-A co ty tam, do diabła, kombinujesz? - leniwie spytał Nick, wolno cedząc słowa.

Dany odwróciła się gwałtownie i ujrzała go pochyłego do tyłu z rękoma splecionymi za głową, przyglądającego się jej spod przymrużonych powiek.

-Mówiłeś, że musiałbyś mnie pilnować, gdybym weszła do wody.

- Ach, o to chodzi. - Znów ten gardłowy, zniechęcony śmiech. - Ale skoro ja naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żebyś oddała się rozkoszy pływania nago, nie wiem, czemu ty...

- Dziękuję, tak jak teraz jest dobrze.

Wstała i zaczęła z powrotem odwijać rękawy koszuli, lecz w ułamku sekundy Nick znalazł się przy niej i chwycił ją mocno i za nadgarstek.

- W porządku, panno Trent, zrozumiałem. - Obdarzył ją dziwnym uśmiechem. - Możesz bez obawy wejść do sadzawki. Już ją sprawdziłem i przyrzekam ci, że żadne karaluchy ani pijawki nie czyhają tam na twoje małe, rozkoszne ciało. A więc proszę bardzo...  
- Odwrócił się demonstracyjnie i zaczął pakować plecak.

Dany stała ze wzrokiem utkwionym w jego plecy, gryząc dolną wargę i bawiąc się nerwowo zawieszonym na szyi złotym łańcuchem. Jednakże po chwili, nie mogąc już dłużej oprzeć się pokusie, jednym szarpnięciem ściągnęła łańcuch, a potem w pośpiechu koszulę, tenisówki, skarpetki, dzinsy i majtki i zsunęła się z brzegu prosto do sadzawki. Gdy woda zamknęła się wokół jej spoconego, oblepionego kurzem ciała niczym chłodny jedwab, cichutko jęknęła z rozkoszy. Na powierzchni unosiły się setki kwiatów stefanotisu. Zbierała je garściami i zgniatała, by sycić się ich odurzającym zapachem.

Odbiwszy się od brzegu, paroma powolnymi ruchami rąk i nóg przepłynęła sadzawkę wszerz i zatrzymała się na półce skalnej. Tupała nogami i pozwalając kaskadom wody spływać po głowie i ramionach, wypłukiwała pył z włosów.

Śmiejąc się z radości, wystawiła twarz do słońca. Po chwili skamieniała, ujrzawszy Nicka stojącego na brzegu. Schowała się głębiej pod wodę z okrzykiem:

- Idź stąd!
- Pomyślałem, że mogłoby ci się to spodobać.

Podniósł coś do góry, a ona, zerknąwszy poprzez zlepione kropelkami wody rzęsy, zobaczyła...

- Mydło! Och, Nick, skąd je wzięłeś?

- Znalazłem w samolocie, kiedy ty gruchałaś nad złotem. Chcesz, żebym ci namydlił plecy? Podobno robie to... hm... bardzo delikatnie.

- Nie, idź już. - Spojrzała na niego z niechęcią. Dlaczego zawsze musiał wszystko zepsuć?

- Dobra. - Z żalem rozłożył ręce. - Twoja strata. Trzymaj. - Rzucił jej mydło i kiedy już zabierał się do

odejścia, przystanął, ściągnął swój czarny podkoszulek i rzucił na trawę.

-Wysusz się na tym. Jaka szkoda, że nie mam prześcieradła kąpielowego. Wytarłbym cię nim, a potem owinął.

Jego głos zmienił się w intymne mruczando i przez chwilę, zanim zdążyła zapanować nad swoim zdradzieckim umysłem, ujrzała oczyma wyobraźni kłęzącego przed kominkiem Nicka. Zbliżał się do niej, wychodzącej z perfumowanej kąpieli, z prześcieradłem kąpielowym, zawijał ją, a potem... Głośno przełknęła ślinę.

- Dzięki. - Jakimś cudem udało jej się zachować obojętny ton głosu. - Ale mogę się wytrzeć swoją własną koszulą.

- Powiedziałem ci, użyj tego. - Czubkiem buta wskazał leżący podkoszulek. - A potem możesz mi go uprać.

Co za bezczelność! Sam sobie może prać swoje koszule, nawet tuzinami. Z drugiej strony, stał tam na brzegu z rękami opartymi na biodrach, patrząc na nią gniewnie, a ona nie była w najlepszej pozycji, ażeby mu się przeciwstawić. Ale jeśli pozwoli mu się teraz terroryzować...

- Proszę - syknęła przez zęby. - Proszę, Dany, upierz mi koszulkę - dodała, gdy uniósł brwi ze zdziwienia.

- Hm. - Popatrzył na nią w zamyśleniu. - Zamierzałem zrobić jeszcze jedną czy dwie rzeczy - sprawdzić, czy nie ma w pobliżu tropu jaguara i tak dalej - ale, oczywiście, zamiast tego mogę sobie uprać koszulę.

- Dobrze już, dobrze, upiorę tę twoją cholerną koszulę - warknęła. - Ale nie wyobrażaj sobie, że wejdzie mi to w nawyk - rzuciła za nim, gdy odwrócił się, by odejść.

Gniewnie patrzyła w jego kierunku, dopóki nie zniknął pomiędzy drzewami, po czym, chwyciwszy kostkę zwykłego białego mydła, namydliła włosy i całe ciało z taką przyjemnością, jak gdyby to był jej ulubiony gatunek, o jaśminowym zapachu. Wreszcie popłynęła z powrotem, wyszła z wody i podniosła czarny pod-

koszulek. Był jeszcze ciepły i przesycony jedynym w swoim rodzaju zapachem - zapachem Nicka Devlina, mieszanią potu i wibrującej woni męskości.

Mocno zaczęła wycierać mokre ramiona, tak jak gdyby chciała ztrzeć skórę, a wraz z nią te przyprowadzające o słabość doznania. To wszystko wina tego okropnego lasu - jego bujności, soczystości, która wywierała potężny wpływ na jej zmysły. Tak, o to właśnie chodziło - tak naprawdę nie miało to nic wspólnego z Nickiem Devlinem.

Kiedy wrócił z maczetą w jednym ręku, a wiązką zaostzonych gałęzi w drugim, siedziała już ubrana w spodnie i bezpiecznie owinięta szorstkim kocem. Właśnie rozkładała na słońcu obie koszule i swoje białe, bawełniane figi, kiedy usłyszała jego kroki. Odwróciła się, krzywiąc twarz z bólu.

- Co się stało?

- Mam pęcherz na pięcie. Woda złagodziła ból, ale teraz...

- Usiądź i pokaż mi nogę.

- Nie trzeba, wszystko w porządku.

Chciała przekuścić obok niego, lecz chwycił ją za łokcie i obrócił ku sobie.

- Powiedziałem, siadaj! - Zawahała się, po czym opadła na trawę. - Która noga?

Odchyliła połę koca i ostrożnie wysunęła różową stopę. Nick ujął ją w obie dłonie, przekreślił i wydał okrzyk przerażenia. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła na pięcie ogromną zaognioną opuchliznę, z której sączył się przezroczysty płyn. W zasadzie od paru godzin prawie nic nie czuła, znieczulona najpierw przez zmęczenie, następnie przez zimną wodę. Teraz jednak pulsujący ból promieniował na całą nogę, a gdy Nick bardzo delikatnie dotknął zaognionej skóry, skrzywiła się, a w jej oczach pokazały się łzy.

- Przepraszam. - Spojrzał na nią z ponurym uśmiechem i małym palcem strącił łzę z jej rzęs. - Ależ z ciebie dziwne dziecko - powiedział łagodnie. - Rano przez

dwie godziny jęczałaś z powodu komarów, dopóki nie znalazłem ci w apteczce płynu przeciwko nim. Potem, kiedy ten wyjec wyrósł nagle za twoimi plecami, o mało nie ochrypałaś od wrzasku. Ale o tym nie pisnęłaś ani słowa. To przez te twoje cholerne tenisówki! - dodał ze złością.

- A co byś zrobił, gdybyś wiedział? Niósłbyś mnie na plecach? - starała się rozładować atmosferę.

- Gdyby to było konieczne, niósłbym - odpowiedział ponuro. - Nie ruszaj się.

Podszedł do plecaka i wyjął z niego maść przeciwwzapalną, watę i rolkę gazy, z której odwinął kawałek długimi, brązowymi palcami i zręcznie odciał scyzorykiem.

Dany postanowiła, że nawet nie mrugnie okiem podczas całej operacji, lecz kiedy Nick nakładał maść, mimo woli wzdrygnęła się.

- Sprawiam ci ból?

- Nie. - Zdobyła się na uśmiech. - Jesteś bardzo dobrą pielęgniarką.

- Nie sądzę. - Skrzywił się. - Nie mam za grosz najważniejszej cechy: cierpliwości.

Przyglądała się, jak przykładał watę do rany i zaczął bandażować. Włosy spadły mu na oczy. Odgarnął je wierzchem dłoni. Wyglądał na zmęczonego. Twarde rysy jego twarzy zaostrzyły się, a usta zacisnęły tak, jak gdyby postanowił trzymać się za wszelką cenę. Dany ogarnął nagły impuls, by pogłodzić go po twarzy, poczuć, jak napięte mięśnie rozluźniają się pod jej palcami.

Wtem czarne rzęsy uniosły się do góry. Zielone oczy Nicka spojrzały prosto w jej oczy. Na moment ucichły odgłosy lasu, a zwinięty w kłębek, drzemiący pomiędzy nimi wąż poruszył się znowu i cicho zasyczał. Nick gwałtownie przysiadł na piętach.

- To powinno wystarczyć. - Zawiązał gazę, złożył scyzoryk i przyczepił do paska.

- Dziękuję - odezwała się niepewnie.

- Zobaczymy, jak to będzie wyglądało rano. Zawsze możemy się tu zaszyć na jeden dzień.

- Nie, nie, na pewno wszystko będzie dobrze. - Dany była przerażona. - Musimy iść dalej, w razie gdyby złodzieje... - urwała, ponieważ wiedziała bardzo dobrze, że to nie strach przed pościgiem pchał ją do przodu, lecz potrzeba dotarcia do granicy, gdzie będzie bezpieczna z daleka od lasu... i od Nicka Devlina.

Nałożyła skarpetki i tenisówki i ostrożnie wstała. Rozejrzawszy się, spostrzegła, że słońce jest już nisko i rzuca na sadzawkę długie, fioletowe cienie.

Nick podniósł i pomacał obie koszule.

- Nie możesz tego założyć, jeszcze wilgotna. Śpij w mojej... jest sucha jak pieprz.

- A ty?

- Nie ma problemu. Ja i tak zawsze *śpię* nago.

- Ach, rozumiem.

- Ale nie martw się. - Uśmiechnął się łobuzersko.

- Może tutaj - wskazał otaczający ich las, ciemniejący wraz z zapadaniem szybkiego, tropikalnego zmierzchu

- pójdę na kompromis i zostanę w dżinsach. - Rzucił jej koszulę pod nogi. - Załóż to, ja przygotowuję miejsce do spania.

Zabrał poćcinane wcześniej patyki, przeskoczył strumień i zaczął wbijać je w ziemię w dwóch równoległych rzędach obok krzewu róży chińskiej. Dany przyglądała mu się przez chwilę, po czym, odwróciwszy się plecami, zrzuciła koc i błyskawicznie wślizgnęła się w jego koszulę. Jedna dłuższa gałąź posłużyła Nickowi za maszt podtrzymujący dach, mniejsze, liściaste, szybko zostały wplecione w całą konstrukcję i prowizoryczny szałas był gotów, nim Dany ponownie spojrzała w tamtą stronę.

- Pani apartament gotów, *madame*.

Zanim zdążyła się ruszyć, złapał koc, chwycił ją w ramiona i przeniósł przez strumień. Jej głowa spoczywała w zagłębieniu jego szyi. Czuła spokojny rytm serca w jego nagiej piersi, kontrastujący z jej własnym przyspieszonym oddechem.

Postawił dziewczynę na ziemi i odsunął od siebie na odległość ramion. Jego twarz była teraz tylko bladą plamą na tle ciemnogramatowego nieba.

- Śpij dobrze, Dany.

- A gdzie ty będziesz spał?

- Och, oprę się o tamto drzewo mahoniowe. Nie martw się, nocowałem już w gorszych miejscach niż to.

- Jego zęby zaśniły w uśmiechu. - Przypomnij mi, żebyś mi kiedyś opowiedział o tym, jak spędziłem noc w tej norze, hotelu w Kartagenie.

Dany odchrząknęła. Nie, nie wolno ci tego robić, naprawdę nie wolno - krzyczał jej wewnętrzny głos.

- Możesz spać ze mną. To znaczy... - miała ochotę odryźć ten swój niewyparzony język - możesz dzielić ze mną koc.

- Nie.

- Tak. Mam twoją koszulkę, a w nocy robi się bardzo zimno. Więc przestań się wygłupiać.

- To ty się wygłupiasz - odparł szorstko.

- Dlaczego? Naprawdę nie ma problemu - powiedziała surowo. - Przecież mnie nawet nie lubisz.

- Kochanie, lubienie nie ma tutaj nic do rzeczy, - rzucił sarkastycznie. - W końcu jestem tylko człowiekiem.

W otaczającym półmroku słowa te sprawiły, iż Dany zrobiło się gorąco, a potem, ku jej przerażeniu, poczuła, jak pod cienką bawełnianą koszulką jej sutki powiększają się i twardnieją.

- Jeśli... - znów odchrząknęła - jeśli ty nie będziesz tu spał, to ja także nie.

- Panno Trent, jest pani uparta i nieposłuszna.

- Roześmiał się cicho.

- Już mi to mówiłeś. A więc?

- No, dobrze. Ale może powinienem położyć między nami nóż. Gdzieś czytałem - kontynuował oschle - że jeśli w dawnych czasach cnotliwa panna zmuszona była dzielić łożę z mężczyzną, spoczywający pomiędzy nimi nagi miecz był najlepszym sposobem, by uchronić ją od

hańby. A ty, naturalnie, nosisz się ze szczerym zamiarem zachowania dziewictwa dla Średniowiecznego Marcusa. Czyż nie tak?

Dany zacisnęła usta. Ależ z niego arogancka świnia. I dlaczego przy każdej okazji musiał do tego mieszać Marcusa?

- Och, nie obawiaj się - odparowała. - Widzisz, wolę, żeby moi mężczyźni byli po prostu mężczyznami.

- Panno Trent, to brzmi jak wyzwanie. - Roześmiał się leniwie.

- Naprawdę? Wcale nie o to mi chodziło.

- W takim razie nie muszę się niczego obawiać.

Położ się, a ja pójdę się umyć.

Dany wczłogała się do niskiego szafasu i zwinęła w kłębek pod połową koca. Ciemność wyostrzyła jej zmysł słuchu. Słyszała kroki Nicka podchodzącego do sadzawki, potem dwa długie zgrzyty, gdy odpinał buty, trzeci - zgrzyt suwaka od dżinsów, wreszcie cichy szelest, kiedy zdejmował spodnie i slipy. W końcu dobiegł ją cichy plusk wody.

Parę minut później usłyszała, jak wdrapuje się na brzeg i zupełnie nieoczekiwanie pojawiło się wspomnienie tego ranka, doskonale wyrzeźbionego ciała wyłaniającego się z mgły. Zacisnęła powieki, za wszelką cenę starając się wymazać ten obraz i zastąpić go uśmiechniętą twarzą Marcusa, lecz fragmenty jego wizerunku za nic nie chciały złożyć się w całość w jej wyobraźni.

Wystraszona, starała się przybliżyć sobie jego zamgloną postać. Gdy po chwili, słysząc jakiś dźwięk, otworzyła oczy, ujrzała na tle nieba ciemną sylwetkę Nicka, który przykucnął, by położyć się obok niej.

- Czy masz wystarczająco dużo koca? - spytał naturalnym głosem.

- Tak. - Nie ufała sobie na tyle, by wypowiedzieć coś więcej ponad tę jedną sylabę.

- W takim razie, dobranoc. - Położył się po swojej stronie, jak najdalej od niej.

- Dobranoc.



Ziewnęła i poczuła, jak napięcie powoli ją opuszcza. Odetchnęła głęboko. W rozgrzanej ciemności otaczała ich bogata, ciężka woń.

- Och, stefanotis!

Ponownie wciągnęła głęboko powietrze, napełniając nim płuca, tak iż wydawało jej się, że drobne cząsteczki zapachu krążą w jej ciele każdą najdrobniejszą żyłką.

- Mmm, to cudowne. Zeszłej zimy kupiłam taki jeden maleńki krzaczek w doniczce i postawiłam przy łóżku. Napełniał swoją wonią cały pokój.

- Czy w dalszym ciągu tak silnie pachnie?

- Nie wiem - odparła ze smutkiem. - Oddałam go komuś, z kim pracowałam.

- Dlaczego? Przecież tak bardzo je lubisz.

- Cóż - odrzekła niechętnie, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat - Marcus nie lubił tego zapachu. Skarżył się na ból głowy za każdym razem, kiedy do mnie przyszedł.

- Aha!

Nie powiedział nic więcej, lecz bogactwo znaczenia zawartego w tym słowie sprawiło, iż Dany poczuła się w obowiązku stanąć w obronie Marcusa.

- Nic nie mógł na to poradzić. Niektórzy ludzie dostają strasznej wysypki po zjedzeniu jednej tru-skawki.

- Jasne - zgodził się uprzejmie.

- Dziadek opowiadał mi kiedyś... O Boże, dziadek!

Przez cały dzień ani razu nie pomyślała o dziadku i teraz ogarnęło ją poczucie winy.

- Czy myślisz, że on już wie? Mam na myśli nasze zniknięcie.

W nagłym poruszeniu usiadła wyprostowana, ocierając się włosami o liściasty dach. Nick odwrócił się do niej twarzą.

- Wątpię.

- Tak, ale on zamartwi się na śmierć, jeśli...- - Urwała, a wargi zaczęły jej drżeć.

Nick położył rękę na jej dłoni.

- Jestem pewien, że ta świnia Somers nie życzyłaby sobie, żeby ktokolwiek wszczął poszukiwania. Mogliby dotrzeć do samolotu przed nim. Jeśli dobrze znam tego drania, rozpuścił plotkę o tym, że zostaliśmy we dwoje, żeby dołączyć do następnej grupy. Może właśnie teraz robi aluzje do naszego nagłego romansu.

- Masz na myśli romans pomiędzy mną i tym miłym panem Jamesem?

- Oczywiście. - Wydał niski, gardłowy pomruk.  
- Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że pan James posiadał wiele ukrytych zalet.

- Och, jestem tego pewna. - Zaśmiała się, lekko zmieszana.

- W każdym razie, nawet jeśli Tom dowie się, nie będzie się martwił. Wie, że ze mną jesteś bezpieczna.

Bezpieczna! Nick z pewnością uchroni ją przed niewidocznymi niebezpieczeństwami czającymi się za ścianą ich kruchego schronienia. Jeśli to w ogóle możliwe, on jeden potrafi trzymać na odległość leśne jaguary. Wolną ręką instynktownie namacała na szyi złoty łańcuch z maską warczącego jaguara... Mimo to, „bezpieczny” nie było słowem, które przychodziło jej na myśl, kiedy Nick Devlin był w pobliżu. Tryskający energią - tak. Nieobliczalny - tak. I niebezpieczny - woń zagrożenia wydobywała się każdym porą jego ciała.

Delikatnie wyjęła rękę z jego dłoni, położyła się, a potem długo jeszcze wpatrywała się poprzez posplatane gałęzie w diamentowe punkciki milionów gwiazd i wsłuchiwała w spokojny, rytmiczny oddech śpiącego obok mężczyzny...

Kapała się w sadzawce. Teraz stała naga na brzegu, ogarnięta pierwotnym uczuciem strachu. W ciemnościach lasu coś się czaiło, coś drapieżnego i dzikiego. Wiedziała, że powinna zostać na otwartym terenie, gdzie była bezpieczna, lecz jakaś siła nieubłaganie ciągnęła ją ku drzewom. Szła pomiędzy nimi na oślep,

potykając się, aż wreszcie zawadziła nogą o korzeni i padłszy na ziemię jak długa, leżała w oszołomieniu.

I wtedy tuż za plecami usłyszała niski, gardłowy pomruk. Kiedy uniosła głowę, ujrzała zbliżającą się; bezszelestnie błyszczącą czarną panterę. Gdy tak leżała bezbronna, zwierzę podeszło bliżej i stanęło nad nią, powarkując cicho. Na policzku czuła jego parzący oddech. Podniosła wzrok i spojrzała prosto w płomienne jadeitowozielone oczy.

Lecz wtedy pysk zwierzęcia uległ metamorfozie - przez moment był jedynie złotą maską, by po chwili przeistoczyć się w ludzką twarz. W rozgrzanej ciemności po jej ciele przesuwały się ludzkie ręce, które, głaszcząc ją i pieszcząc, wyzwały w niej dziwne doznania - żądze, które nagle rozpały się w niej dzikim płomieniem. Jęczała i wiła się pod dotykiem błędzących rąk. Każda najdrobniejsza komórka jej jestestwa znajdowała się w ogniu, atakowana przez szkarłatne płomienie.

Postać napreżyła się i Dany poczuła na sobie ciężar obcego ciała. Kręciła głową na boki jak oszalała, a jej oddech stawał się coraz pfytszy. Dyszała ciężko, gdy płuca zaczęły domagać się więcej powietrza. Wreszcie jej ciałem wstrząsnął potężny spazm. Jęknęła głośno, krzyknęła i...

-Dany!

Dźwięczący w uszach głos wyciągał ją powoli z płomiennego wiru, w którym się zatraciła. Jęknąwszy ponownie, usiłowała się temu przeciwstawić, lecz kiedy poczuła silniejszy uścisk oplatających ją ramion, otworzyła oczy. Dostrzegłszy w ciemności te same zamazane kontury, tę samą ocienioną twarz, zaczęła walczyć, by się uwolnić.

-Dany, ciii...

Tym razem wyrwała się ze snu zlaną zimnym potem, wstrząsana gwałtownymi dreszczami. Ujrzała schylającego się ku niej...

- Nick! Och, Nick!

Przyłożyła do ust drżącą dłoń i rozplakała się, a silny, rozpaczliwy szloch wstrząsał całym jej ciałem.

- Proszę, kochanie, przestań.

Przygarnął ją bliżej do siebie, gładząc po włosach. Zdobyła się na jeszcze jeden słaby wysiłek, ażeby się oswobodzić, po czym z westchnieniem opadła na posłanie, pozwalając mu przygarnąć się do jego nagiej piersi.

- Czy to był zły sen?

- Hmm - mruknęła ze ściśniętym gardłem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie! - Przerazona, odsunęła się od niego gwałtownie, lecz przyciągnął ją do siebie z powrotem. - Nie, po prostu byłam głupia.

- Chodzi o ten cholerny las?

- Tak - skłamała z wdzięcznością. - Myślę, że to trochę za dużo jak dla mnie.

- Nie poddawaj się, skarbie. Nie ty pierwsza tak się czujesz. A poza tym mówiłem ci już: wydostaniemy się stąd.

Skineła głową, nie mogąc wydobyć z siebie nic więcej ponad słaby jęk. Silny erotyzm snu sprawił, że jej nerwy w dalszym ciągu były w strzępach. Nick wyciągnął rękę i odgarnął jej z policzka kosmyk włosów. Przez chwilę dotykał ją palcami, po czym cofnął rękę i gwałtownie wypuścił ją z objęć.

- Już świta. Należałoby wstać.

- Och, musimy? - zaprotestowała.

- Tak, musimy. - W jego głosie ponownie zabrzmiała ostra nuta, której tak nienawidziła. - Im wcześniej wyruszymy, tym lepiej. W razie gdybyś tego nie zauważyła, tak samo jak i tobie zależy mi na tym, żebyśmy się stąd wydostali. - Odsunawszy z niecierpliwością koc, wyslizgnął się z szafasu.

Dany niechętnie wyczołgała się, aby do niego dołączyć. Wprostowawszy się, westchnęła z zachwytem. Wczoraj była zbyt wyczerpana, by interesować się otoczeniem. Dopiero teraz dostrzegła, że miejsce ich

biwakowania znajdowało się na łagodnym zboczu, które następnie gwałtownie opadało w dół, tworząc szeroką nieckę doliny. Poza nią ciągnęły się kolejne zalesione wzgórza z widocznymi pióropuszcami palm. Cała ta sceneria - niebo, dolina, wzgórza - pogrążona była w delikatnej, jasnomorelowej poświacie.

Usta Dany rozchyliły się w niemym zachwycie. Z promiennym uśmiechem na twarzy odwróciła się do Nicka.

- Tu jest naprawdę pięknie.

Spojrzał jej prosto w oczy, lecz po chwili skrzywił się lekko.

- Wydawało mi się, że las nie należy do twoich ulubionych miejsc, skarbie. W każdym razie postaraj się wykorzystać swój nastrój. Planuję do południa przedostać się na drugą stronę tych wzgórz.

Pochylił się nad sadzawką i, nabierając w dłonie wody, oblewał nią twarz i ramiona. Robił to tak gwałtownie, jak gdyby próbował wygnać jakiegoś drażącego go od wewnątrz demona.

Dany podeszła wolno i ukłękła obok niego, lecz on wyprostował się i pomaszerował wprost do plecaka.

- Co sobie życzysz na śniadanie? - spytał szorstko, wyjmując parę puszek. - Może jeszcze ryżu?

- Uff, nie, dziękuję. - Skrzywiła się.

- W takim razie spaghetti.

- A nie możesz załatwić jaj sadzonych na bekonie?

- Niestety, nie. Chociaż... jeśli bardzo się postarasz, to spaghetti może się zmienić w średnio wysmażony befsztyk z frytkami i sałatką. - Jęknął. - O, Boże, mam już halucynacje.

Przesunął palcami po policzkach, pokrytych ciemnym zarostem.

- Matko Święta, co za szczecina. - Westchnął ciężko.

W wyniku kolejnej błyskawicznej zmiany nastroju wrócił mu dobry humor. Uśmiechnął się do Dany. Serce zabiło jej gwałtownie.

- Właśnie... właśnie coś mi się przypomniało. W torbie mam żyletkę - powiedziała piskliwie, lekko dysząc. - Jest wprawdzie niewielka, ale...

Niezdarnie wstała i odwróciwszy się do niego plecami, zaczęła grzebać w torbie, starając się równocześnie odzyskać panowanie nad sobą. Co się, do diabła, z nią działo? Najpierw ten sen - nigdy nie miewała podobnych snów - a teraz to. Ależ, Dany - odezwał się niespokojnie jej wewnętrzny głos - Nick Devlin uosabia wszystko to, czego nie cierpisz w mężczyznach i dobrze o tym wiesz. Jest arogancki, zaskakujący w zachowaniu, zawsze wszystko utrudnia i nigdy nie przepuści okazji, żeby tobie, tobie osobiście, dogryźć. Mimo to, kiedy uśmiech złagodził cienką linię jego warg i błysnął w zielonych oczach, w jednej chwili nogi się pod tobą ugięły, tak że ledwo mogłaś ustać...

- To ta?

Głos Nicka dobiegł z za jej pleców i dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że trzyma w ręku małą, różową żyletkę.

- T-tak. - Podała mu ją, nie podniósłszy wzroku i usłyszała jego ponury śmiech.

- Nie jest to zupełnie to, do czego jestem przyzwyczajony, ale cóż, potrzeba jest...

- Devlinem wynalazków. - Rozsadał ją bezmyślny chichot i, nie mogąc się powstrzymać, paplała dalej. - Lepszy Devlin w garści niż Devlin na dachu.

Kiedy chichot przerodził się w niemal histeryczny atak śmiechu, Nick obrócił ją ku sobie i uniósł jej twarz do góry.

- Wszystko w porządku? - Zmierzył ją wzrokiem. - Masz rumieńce. Chyba nie zamierzasz rozłożyć się z gorączką?

- Jasne, że nie. - Poczuła, jak pod jego badawczym spojrzeniem policzki coraz bardziej zaczynają ją piec. - Chyba byłam wczoraj zbyt długo na słońcu.

- Mówiłem ci przecież tyle razy, żebyś założyła kapelusz od słońca. A jak twój pęcherz?

- O, dużo lepiej - odparła prędko.
- Obejrzyjmy go więc.

Niechętnie usiadła, a Nick szybko odbandażował jej stopę. Kiedy patrzyła na jego szczupłe, opalone palce, z niezwykłą delikatnością badające jej czułą skórę, w umyśle dziewczyny zrodziła się nagle myśl. Jakby to było: leżeć w jego ramionach i czuć te palce błędzące po swoim ciele, wyzwalające dreszcze, takie jak te, które ogarnęły ją w owym ekstatycznym śnie?

To wspomnienie oplotło ją niczym pajęczyna. Jej pierś poczęła wznosić się i opadać w szybkim oddechu. Widziała, jak Nick ogarnął chłodnym spojrzeniem jej wilgotne, rozchylone wargi. Lecz najgorsze było to - poczuła upokarzającą pewność - że dokładnie wiedział, o czym myślała.

Nie rzekł jednak ani słowa, tylko postawił jej stopę na ziemi. Spróbowała stanąć.

- Teraz już dobrze. Dziękuję, Nick. - Uśmiechnęła się do niego z przymusem, lecz on tylko skinął głową.

- Będiesz żyła - powiedział szorstko. - Zmienię ci tylko opatrunek, a kiedy będę się голу, ty możesz zorganizować coś do jedzenia. Proszę. Potem wyruszamy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Drogę przecinał im szeroki, wolno płynący strumień. Nick zatrzymał się, mrużąc coś z irytacją pod nosem.

Dany zrzuciła z ramion swój pakunek, wdzięczna za chwilę wytchnienia, pomimo że ciężar był lżejszy o puszki zjedzone w przeciągu minionych czterech dni. Dzisiejszy dzień przypominał pozostałe. Wpadli już w swojego rodzaju rutynę - on prowadził w bezlitosnym tempie, pokonując trasę niemal w milczeniu, jeśli nie liczyć pojedynczych pomruków. Gnał do przodu, odwracając się tylko po to, by warknąć na nią, gdy zostawała zbyt daleko w tyle.

Pewnego razu, kiedy tak stał, nerwowo stukając nożem o nogę i wzdychał głęboko z miną cierpiénika, Dany nie wytrzymała.

- Wiesz, nie wszyscy mają półkilometrowej długości nogi.

Zaszczycił ją wtedy jednym spojrzeniem.

- Połowę krótsze nogi dla połowę mniejszego mózgu.

Ponownie wyruszył jak na złamanie karku, a jej nie pozostawało nic innego, jak tylko powlec się za nim, uprzednio miażdżąc wzrokiem jego plecy.

Teraz, ledwo na nią spojrzawszy, chwycił swój plecak i schylił się po jej pakunek.

- Najpierw zaniosę to, a potem będę musiał wrócić i przenieść ciebie.

- Dziękuję, sama sobie poradzę - odparła lodowato.

Popatrzył na jej tenisówki, brudne i wytarte po czterech dniach zmagania się z trudnym terenem i uśmiechnął się.



- W tych bezużytecznych szmatach?
- To nie moja wina. Nie wiedziałam, że dają się naciągnąć na stu pięćdziesięciokilometrowy rajd przez dżunglę. O, przepraszam, przez las.
- Gdybyś ty sama nie poszła do lasu, ignorując polecenia, nie byłibyśmy tu teraz.
- Nigdy nie pozwolił mi o tym zapomnieć, prawda?
- Nigdy to bardzo długo, skarbie. A ja nie zamierzam pozwolić ci pozostać w moim towarzystwie i dalej rujnować moje życie przez tak długi czas. A teraz bądź łaskawa zamknąć się i pozostać na miejscu.

Z tłącym się wewnątrz uczuciem urazy Dany patrzyła, jak Nick brnie przez strumień, a zielona, słonawa woda podnosi się powoli, sięgając niemalże końca wysokich cholew jego butów. Wszystko w porządku - po prostu podwinie spodnie, ściągnie buty i skarpetki i pójdzie za nim. A gdyby tak przeskoczyła strumień w biegu?

Na brzegu, tuż za nią, rosła stara sękata bawełnica, z której zwisało parę zielonych, grubych jak męska ręka lian. Wgramoliwszy się na górę, chwyciła najgrubszą z nich i stanęła twarzą do strumienia w chwili, kiedy Nick położył obydwa plecaki na drugim brzegu i odwrócił się. Jego wściekłe spojrzenie sprawiło, że serce zamarło jej z przerażenia, lecz po chwili buntowniczo uderzyła się rękoma w pierś.

- Ja, Tarzan!

Usłyszała tylko przeraźliwy wrzask „Nie!”, po czym odepchnęła się z całej siły i wbiła w powietrze. Ten impet o mały włos nie przeniósł jej na drugą stronę, lecz kiedy szykowała się już do lądowania, rozległ się głośny trzask, liana pękła, a ona, zupełnie bezradna, spadła na plecy w sam środek strumienia. Wynurzyła się, nic nie widząc poprzez kosmyki mokrych włosów, kaszląc i krztusząc się obrzydliwie smakującą wodą. Nick dotarł do niej w ciągu sekundy, chwycił ją pod pachy i postawił na nogi.

- Ty mała idiotko! Czy kiedykolwiek będziesz robić to, co ci każe? - spytał z wściekłością.

- Nie, jeśli tylko to będzie możliwe. - Wciąż zbuntowana, odgarnęła włosy z oczu, ciężko łapiąc oddech.

Potrząsnął nią, jak gdyby już od dawna wyczekiwał tej przyjemności.

- Lepiej się tego naucz, do cholery, i *to od zarazi* warknął i przerzuciwszy ją przez ramię, doznał do brzegu, gdzie rzucił ją na ziemię jak worek kartofli.

- Wyskakuj z tych ciuchów. I to już - zażądał, kiedy kurczowo chwyciła swoją przemoczoną koszulę. - W końcu równie dobrze mogłabyś nic nie mieć na sobie - dodał.

Nagle zdała sobie sprawę, że ubranie przywarło do niej jak druga skóra. Spodnie uwydatniały krągłe linie bioder i ud, zaś koszula oblepiła się na pełnych, sterczących piersiach. Różowe paczuski sutków i otaczające je nieco ciemniejsze aureolki były najzupełniej widoczne przez prześwitującą bawełnę. Instynktownie zakryła się rękoma.

- Och, niech się pani tak nie przejmuj, *madame*. Jeśli sądzisz, że zrzucenie przez ciebie ciuchów jest aż taką podniętą, to pomyśl jeszcze raz.

Skrzywiła się, gdyż słowa te zapiekły ją do żywego, lecz zmobilizowała resztki urażonej godności i uniosła wyżej głowę.

- Ty też się nie przejmuj. Podniecanie ciebie jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnę... teraz czy kiedykolwiek.

- Kamień spadł mi z serca. Jedno jest wszakże pewne. Nie możemy już dzisiaj iść dalej. Poczekaj tu, a ja spróbuję znaleźć miejsce na biwak z czystą wodą zamiast tego śmierdzącego paskudztwa. - Wskazał kciukiem strumień. - A ty nawet tam nie podchodź. Masz szczęście, że nie muszę teraz zbierać pijawek z każdego centymetra kwadratowego twojego ciała.

Kiedy już poszedł, Dany oparła się o drzewo i złożywszy przed sobą ręce, utkwiała wzrok w ziemię. Co

ją, do diabła, napadło, żeby zachować się tak dziecinnie? To była jego wina. Jest tak władczy, tak dominujący, że po prostu musiała mu się sprzeciwić - w samobronie, inaczej zmiażdżyłby ją zupełnie. Ale nie, w głębi ducha wiedziała, że to nie był prawdziwy powód. Nie chciała, żeby niósł ją przez strumień, trzymał w ramionach, nie chciała przytulać głowy do jego piersi.

To nie znaczy, że on pragnąłby tego, gdyby miał wolny wybór... Jeśli miała jakieś wątpliwości, właśnie przed chwilą w brutalny sposób przypomniał jej, co do niej czuje. Właściwie od czasu zwiniecia obozu owego pierwszego pamiętnego ranka wydawał się specjalnie wznosić wokół siebie mur, jak gdyby sam jej widok był mu nienawistny, nie mówiąc już o jakimkolwiek kontakcie fizycznym. Nie zabawiał się już nawet w erotyczne gierki słowne.

Stado jaskrawo upierzonych ptaków prześlizgnęło się po powierzchni strumienia, przywołując w myślach Dany obraz, jak kiedyś na spacerze nie opodal domu dziadka mignął jej przed oczyma zimorodek. Boże, jaka była wtedy podniecona. A tutaj, w tym tętniącym, pulsującym lesie na każdym kroku spotykała o wiele barwniejsze ptaki.

Tak długo nie ma już Nicka. Może ma jakieś kłopoty? Czy to możliwe, żeby złodzieje wyprzedzili ich i otoczyli? Może wpadł prosto na nich? Niepokój nagle przerodził się w panikę. Porwała gałąź, która leżała przed nią na ziemi i zaczęła biec przed siebie pomiędzy drzewami, aż wtem wpadła prosto na niego, niemalże go przewracając. Zmarszczył brwi, obrzucając ją pionującym spojrzeniem.

- Wydawało mi się, że mówiłem ci... - przerwał, najwyraźniej starając się zachować panowanie nad sobą. - Co ty właściwie, do cholery, wyprawiasz?

- Ja... martwiłam się o ciebie. - Zwiesiła głowę. - Pomyślałam, że ci złodzieje... - Jej głos zamarł, a on wykrzywił wargi w uśmiechu.

- I co zamierzałaś zrobić? Wpaść jak burza, uzbrojona po zęby w gałąź, i uratować mnie niczym mały Superman?

- Och, nie martw się, następnym razem nie będę się wcale przejmować - odparowała urażona do żywego Dany. - Niech cię złapią i... i chwala Bogu za to.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Wyjawszy gałąź z jej rąk, przełamał ją na pół i z pogardą rzucił na ziemię. Żeby pokazać mi, jaka ze mnie idiotka, pomyślała posępnie. Chwycił swój plecak i zamierzał wziąć również jej, ale szybko go wyrwała.

- Sama sobie poradzę, dziękuję.

- Proszę bardzo.

Wzruszył ramionami i odszedł, nie obejrzawszy się nawet, by sprawdzić, czy idzie za nim. Zatrzymał się mniej więcej po pięciu minutach, a wlokąca się z tyłu Dany wyrzała przez gęstwę krzaków i głęboko wciąg\*  
nęła powietrze.

- Dom?! Tutaj? - Odwróciła się do Nicka z rozszerzonymi oczyma.

- Zgadza się. Haczenda.

- Ale... czy ktoś tam mieszka?

- Przyjrzyj się.

Teraz dopiero zauważyła, że bujna zieleń lasu podpełza aż do samego budynku. Mimo to spadzisty jiacb i pobielone ściany były nienaruszone, a wykute z żelaza balkony i weranda oplecione purpurowym i różowym bluszczem oraz białym jaśminem, zasadzonymi niegdyś i pielęgnowanymi troskliwymi dłońmi. Kiedyś musiał to być naprawdę piękny dom. Teraz unosiła się nad nim atmosfera melancholii i Dany mimowolnie przysunęła się trochę bliżej do Nicka.

- A więc jest opuszczony? - Zniżyła głos do szeptu.

- Zgadza się. Byłem w środku i porządnie się rozejrzałem. Zanocujemy tutaj. Przynajmniej będziesz miała prawdziwy dach nad głową.

Nagle zaschło jej w ustach.

- A właściciele? Czy oni umarli?

Zaśmiał się krótko.

- Oglądała pani zbyt wiele dreszczowców, panno Trent. - Położył jej ręce na ramionach. - Nie martw się. Żadnych duchów. Przynrzekam.

- Ale czemu ktokolwiek miałby chcieć tutaj mieszkać?

- Zdaje się, że parę lat temu rząd opracował program odnowienia upraw kuczuku na tym terenie. Przyszli księżęta kuczukowi zostali zwabieni tu z Santa Clara potężnymi bezzwrotnymi kredytami na zagospodarowanie się. Niestety, nic z tego nie wyszło, majątki 'powoli upadały i las znów zaczyna tutaj królować. To miejsce musi być właśnie jedną z owych hacjend.

Weszła za nim po schodach na werandę, rozsuwając splecione łodygi słodko pachnącego jaśminu, a następnie do środka przez drzwi z zielonej siatki. Wnętrze domu było ciemne, przesycone zapachem wilgoci. Odetchnęła z ulgą, kiedy Nick otworzył rozklekotaną okiennicę, wpuszczając do środka trochę słońca. Pokój okazał się pusty z wyjątkiem paru połamanych mebli - foteli pokrytych skórą, bambusowego kufra.

Następne pomieszczenie musiało służyć za kuchnię. Na samym środku znajdował się zwyczajny stół i dwa drewniane krzesła z pionowymi oparciami. Na ścianie wciąż wisiały szafki, a kuchnia na opał z drewna stała przy drzwiach. Razem przechodzili z pokoju do pokoju, wznosząc w powietrze chmurki kurzu, a delikatne echo ich kroków rozbrzmiewało wokół. W końcu Nick powiodł ją do ostatniego już pokoju w tyle domu. Kiedy otworzył okiennicę, w zielonkawym świetle sączącym się poprzez bluszcz Dany ujrzała duże metalowe łóżko z wciąż leżącym na nim materacem, Nick szturchnął go na próbę. Z jednej z dziurek wypłynął mały obłoczek kurzu.

- No cóż - odezwał się ironicznie - wygląda na to, że dziś będziesz spała w luksusach.

O, kurczę! - Patrzyła na wyświechtany materac, jak gdyby wypchany był najdelikatniejszym gęsim puchem. - Ale czy nie jest wilgotny? - Pociągnęła nosem.

- Jeszcze mamy przed sobą parę godzin dnia. Wyniosę go na słońce, żeby się przewietrzył, a ty w tym czasie pościągaj te mokre ciuchy.

Dany owinęła się kocem, który zawiązała pod pachami niczym sarong. Kiedy wróci do Londynu, być może powiesi to szkaradztwo nad łóżkiem jak krzykliwy, abstrakcyjny obraz - ten koc stał się nieodłącznym elementem jej życia w ciągu ostatnich paru dni. Zwinęła w kłębek swoje obślizgłe ubranie i wyszła na zewnątrz.

Tuż za domem rącho płynął mały strumyk. Na brzegu ktoś ułożył płaskie, owalne kamienie. Prawdopodobnie tam właśnie mieszkające tu kobiety robiły pranie. Przez chwilę stała ze spuszczonego wzrokiem i gardłem ściśniętym na samą myśl o wszystkich straconych tu nadziejach, po czym przyklęła i zamoczywszy ubranie w przejrzystej wodzie, wzięła się do roboty...

- Dobry pomysł.

Dany wieszak właśnie swoje czyste spodnie na krzaku w słońcu. Nagle, ujrzała Nicka rzucającego naręczę drewna przy tylnych drzwiach. Podeszedł do niej powoli.

- Przy okazji mogłabyś uprać coś dla mnie.

Przysiadła na piętach, obserwując, jak ściaga oblepiający klatkę piersiową podkoszulek i rzuca obok niej. Następnie zdjął buty i do koszulki dorzucił skarpetki. Zanim zdążyła odwrócić wzrok, bez namniejszego zażenowania odpiął i zdjął dzinsy.

Oczom Dany ukazały się czarne jedwabne slipy opinające jego męskie biodra. Powyżej rysowały się napięte mięśnie brzucha, poniżej, na wewnętrznych stronach ud, widniały kępki kręconych czarnych włosów. Nie zauważyła na jego ciele miejsc o jaśniejszym odcieniu skóry. Najwidoczniej opala się nago, pomyślała, choć trudno jej było wyobrazić sobie tego

mężczyznę leżącego beczynn timer z warstwą olejku słonecznego na ciele. Pod aksamitną skórą jego brzucha dostrzegła pulsujące tętno, co sprawiło, że jej krew znów zaczęła szybciej krążyć.

Pospiesznie chwyciła jego ubranie i wrzuciła je do strumienia. Zabrała się energicznie do prania. Przez ramię zobaczyła, że Nick gwiżdżąc rąbie drewno za pomocą maczety. Właśnie to pogwizdywanie zraniło ją bardziej niż którakolwiek z jego dotychczasowych zgryźliwych uwag, ponieważ świadczyło o tym, że był całkowicie odprężony, podczas gdy ona... Dany wysiłkiem woli odwróciła uwagę od swojego samopoczucia i pospiesznie wzięła się do prania koszuli.

Kiedy w końcu wstała, prostując obolałe plecy, Nick wciąż zajęty był cięciem drewna. Wzięła swą cenną kostkę mydła, którą przechowywała w torebce, zawiniętą w świeży, zielony liść, i uniósłszy nieco koc, podażyła w górę strumienia.

- Nie odchodź za daleko - dobiegł ją głos Nicka, choć była pewna, że jej nie zauważył.

- Dobrze.

Weszła na niewielkie wzgórze za domem i tam, w miejscu gdzie strumień spadał w dół, tworząc mały wodospad, dostrzegła zamocowaną metalową rurkę służącą jako prowizoryczny prysznic. Nick zajęty był przy domu, więc czuła się bezpieczna. Zrzuciła koc i stojąc pod kaskadą wody, namydłała ciało powolnymi, pieścizotliwymi ruchami, dopóki jej skóra i włosy nie pozbyły się obrzydliwego osadu tamtego niemrawego strumienia. Po kąpieli wyciągnęła się z rozkoszą na słońcu, ażeby wyschnąć, i leniwie obserwowała grupę szafranowozółtych motyli trzepoczących pośród różowych kielichów kwiatów róży chińskiej. Powoli powieki same zaczęły jej opadać...

- Ubieraj się!

Usłyszała szorstki głos, a jednocześnie coś ciężko spadło na jej brzuch. Otworzyła oczy i przez chwilę

wpatrywała się nieprzytomnie w ciemny kształt przysłaniający jej słońce, po czym odruchowo usiadła, ściskając kurczowo ubranie, które jej rzucił.

- Przepraszam.

Trzęsącymi rękoma wciągnęła na siebie niezdarnie koszulę, która nie zasłaniała bynajmniej jej szczupłych ud przed jego spojrzeniem. Co wcale nie znaczy, że przyglądał się jej. Nie, patrzył dokładnie na wszystko, tylko nie na nią. Nagle poczuła w sercu ukłucie, które niczym ostry ból zęba sprawiło, że łyzy zakręciły się jej w oczach. Przez ostatnie dni tak wiele razem przeszli, a mimo to było jasne, że nienawidził jej tak jak przedtem, jeśli nie bardziej.

- Musiałam... zdrzemnąć się minutkę czy dwie.

- Masz chyba na myśli godzinkę czy dwie. Wkrótce się ściemni.

Rozejrzawszy się wokół, zdała sobie sprawę, że słońce znajduje się już na jednym poziomie z koronami drzew.

- W każdym razie jedzenie jest gotowe. - Odwrócił się, a ona pośpiesznie wciągnęła majtki.

- O, nie!

Na jej pełen przerażenia krzyk stanął, po czym odwrócił się.

- O co, do diabła, chodzi tym razem?

- Mój pierścionek. - Patrzyła w dół, na kłębiącą się u jej stóp wodę. - Musiał mi spaść z palca, kiedy brałam prysznic.

Uniosła do góry lewą rękę. Bez specjalnego entuzjazmu Nick zawrócił i położył się na brzuchu. Podczas gdy wpatrywała się w niego, w panice gryząc wargi i powstrzymując łyzy, szperał dłonią pomiędzy kamyczkami i wodorostami. Wreszcie wyjął rękę z wody, trzymając w dwóch palcach pierścionek. Bez słowa rzucił go na jej wyciągniętą dłoń.

- Och, dzięki, Nick - paplała uszczęśliwiona. - Naprawdę nie wiem...

- Na twoim miejscu nie wkładałbym tego z powrotem na palec. Ostatnio bardzo straciłaś na wadze.



-Tak, masz rację. - Wcisnęła śliczny pierścionek z granatami i perłami na środkowy palec. - Tutaj powinno być dobrze. Patrz. - Uniosła dłoń, by mógł się przyjrzeć.

-Ten facet to idiota! - wykrzyknął nagle i tak brutalnie, że mimo woli cofnęła się, jak gdyby bez ostrzeżenia uderzył ją w twarz. - Z oczami takimi jak twoje powinnaś nosić pierścionek z ogromnym topazem, a nie coś tak patetycznego. - Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Z uczuciem upokorzenia Dany wślizgnęła się w spodnie. Ale narobiła zamieszania! Nic dziwnego, że Nick gardził nią. To ją, naturalnie, obchodziło tyle, co zeszłoroczny śnieg, ale jak on śmiał szydzić z jej pierścionka? Cóż on mógł wiedzieć o tym, co powinna, a czego nie powinna nosić? Marcus nie cierpiał błyskotek na pokaz, a poza tym lubił, kiedy nosiła schludne, wykwiłtne rzeczy.

Ochronnym gestem położyła prawą rękę na pierścionku. Od czasu tego przerażającego poranka ani razu nie była w stanie przywołać obrazu Marcusa. Jego wizerunek był jej teraz rozpaczliwie potrzebny, aby niczym mały, drogocenny talizman połączyć go z nią. I aby bezpiecznie przyprowadzić ją do niego.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Dany otworzyła drzwi do kuchni, Nick właśnie rozkładał na stole powyginane sztucce i dwie wyszczerbione miseczki. Spojrzał na nią bez cienia uśmiechu.

- Znalazłem to w szafce. I jeszcze to. - Zapalił kilka ogarków świec ustawionych pośrodku stołu.

Od strony kuchni dochodził smakowity zapach, który Dany wciągnęła głęboko, po czym w ekstazie uniosła wzrok do góry.

- Gorący posiłek! Co to takiego?

- W dalszym ciągu jedzenie z puszek: zupa jarzynowa i pulpety w sosie pomidorowym. Może być?

- Cudownie. Widzę, że byłeś zajęty - dodała, uśmiechając się nieśmiało.

- Podczas kiedy ty się opalałaś.

Ani cienia uśmiechu. Dany opuściła wzrok na stół, gdzie migoczące promyki świec odbijały się w ułożonych w stertę owocach.

- Mango! - wykrzyknęła. - Skąd je wzięłeś?

- Niedaleko stąd, w dole strumienia znajduje się stary sad. Jest już prawie obumarły, ale zostało parę drzew mango, aha, i zielona cytryna. Będziemy mieli cytrynowy sok jutro na śniadanie.

- Mm, to wspaniale. - Bezwiednie wzięła do ręki mango i głęboko wciągnęła w nozdrza jego intensywny zapach. - Moje ulubione owoce.

- Już mi mówiłaś - odparł oschle.

Dany, przypomniawszy sobie, co jej wówczas odpowiedział, pośpiesznie odłożyła owoc, a na policzki wypęłzył jej rumieniec.

Gęsta, dobrze przyprawiona zupa okazała się wyśmienita, a pulpety jeszcze lepsze. Nie znosiła pulpetów, dziś wieczór jednak pochłaniała je łapczywie. Wyławiała właśnie resztki mięsa ze swojej miski, kiedy, zerknąwszy do góry, dostrzegła ślady sardonicznego śmiechu w oczach Nicka.

- Przepraszam. Nie miałam od prawie tygodnia nic gotowanego w ustach i to smakuje jak jedzenie bogów.

- Nie mogła powstrzymać figlarnego uśmiechu. - Kolejny z pańskich ukrytych talentów, panie James.

- Masz na myśli lekką rękę do otwierania konserw?

- Jestem pewna, że nie żyjesz cały czas na puszkach.

- Cóż, zupełnie nieźle radzę sobie z meksykańskimi potrawami. Moje *tortille* są przebojem najlepszych przyjęć w Bostonie.

- Mieszkałeś kiedyś w Meksyku?

Skinął głową.

- Kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec, który jest inżynierem, został na jakiś czas wysłany do Mexico City. Rosalinda, nasza gosposia, gdy była w dobrym nastroju, pozwalała mi wałęsać się po kuchni.

- A... twoja mama? - spytała Dany delikatnie.

- Och, zdecydowała się nie jechać z nami. - Pomimo doskonałego opanowania dorosłego mężczyzny do jego głosu przeniknął szczery, chłopięcy ból.

- Tak mi przykro - powiedziała łagodnie i, niezupełnie świadoma tego, co robi, położyła rękę na jego dłoni.

Przez chwilę patrzył w milczeniu na jej dłoń pokrytą zadrapaniami, na połamane paznokcie, po czym wysunął spod spodu swoją rękę.

- Wie pani co, panno Trent? - odezwał się szorstko.

- Ma pani zbyt dobre serce. Naprawdę nie ma powodu, żeby ci było przykro. Jedynie co pamiętam ze szczęśliwego życia rodzinnego to kłótnie i następujące po nich okresy ciszy. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wreszcie odeszła na dobre. - Zabrał się z powrotem do obierania mango, ściągając gładką skórkę długimi palcami. - Widziałem ryby w dole strumienia koło sadu. - Przerwał

wreszcie pełną napięcia ciszę. Będiesz miała jutro na nie ochotę?

- Na śniadanie?

Potrząsnął głową.

- Nie, na kolację.

Spojrzała na niego, oniemiała, w połowie kęsa.

- Na kolację? ! Czy to znaczy, że jutro wieczorem wciąż tutaj będziemy?

- Czemuż by nie? Jak do tej pory pokonywaliśmy trasę w dobrym tempie...

- Powtórz to jeszcze raz - wyrwało jej się.

- A z tego, co się orientuję, znajdujemy się niecałe dwa dni od granicy.

- W takim razie czemu nie przyspieszymy? ~ W jej głosie zabrzmiała panika.

- Kochanie, na pewno nie zależy ci na dotarciu tam bardziej niż mnie. - Zaśmiał się. - Ale nie chcę, żebyś mi padła z wyczerpania. Nie uśmiecha mi się przenosić cię przez tę granicę.

- Och, jestem tego pewna - odparła kwaśno. - Ale nie mam zamiaru...

- Teren będzie jeszcze trudniejszy. - Wpadł jej w słowo. - A ty jesteś wyczerpana. Przypomnij sobie, jak zasnąłś - tylko na dwie minutki. Podjąłem decyzję - odpoczywamy tu przynajmniej przez jutrzejszy dzień.

- Przypuśćmy, że ja chcę iść dalej?

- Tam są drzwi.

Utkwiła wzrok w stole. Na całym świecie nie było chyba drugiego takiego przekłętego, znenawidzonego tyra... Dodała jeszcze w myślach parę epitetów, które niechybnie zaszokowałyby Marcusa. Siedziała zakłopotana, gdyż dotychczasowe życie nie nauczyło jej postępować z takimi ludźmi. Rosnąca panika mówiła jej, że muszą stąd odejść. Wzmagало się w niej fatalistyczne przeczucie, że jeśli nie dotrą wkrótce w bezpieczne miejsce, stanie się coś strasznego. Przez cały czas, kiedy byli razem, towarzyszyła im atmosfera napięcia, która zdawała się nie mieć związku z lasem,

a która tu, w hacjendzie, zintensyfikowała się. Dany cały czas czuła się podenerwowana i spięta, jak gdyby czekała, aż coś - nie była pewna co - się stanie.

Miała ochotę skoczyć na równe nogi, walnąć pięścią w stół i wrzasnąć: Nic mnie nie obchodzi, czego ty chcesz! Wyruszamy jutro!

Zamiast tego przywołała na twarz swój najbardziej, jak miała nadzieję, ujmujący uśmiech.

- Proszę, Nick, nic mi nie będzie. Nie jestem wcale zmęczona i...

- Możesz zachować to zabójcze spojrzenie dla Średniowiecznego Marcusa. Może na niego to działa, bo na mnie tylko się marnuje. - Wyciągnął rękę i zgasił palcami większość świec. - Zostawimy je na jutro.

- Och, ty... - Ziejąc złością, Dany zdarła skórkę z kolejnego mango.

- Masz ochotę na kawę?

- Kawę?! - Spojrzała zdumiona.

- Naturalnie.

Teraz, kiedy wygrał tę ostatnią utarczkę, najwyraźniej zdecydował się być prawie uprzejmy.

- Znalazłem paczkę w samolocie. Idź na werandę, a ja zaparzę kawę.

- Nie, pozwól mi to zrobić.

- A kiedy ostatni raz miałaś do czynienia z czymś takim? - Wskazał na kuchnię.

Wyszła więc na zewnątrz i stanęła w bezruchu, splótniętych dłoniach.

- Och, Nick, chodź i zobacz! Czy kiedykolwiek w życiu widziałeś taki zachód słońca? - Wskazała na niebo.

Daleko na zachodzie słońce zniknęło za horyzontem. Spoza fioletowej chmury buchały szkarłatne i karmazynowe płomienie oblane ciepłym złotem wprost z niebiańskiego paleniska. Dany odwróciła się do Nicka z płonąca twarzą, w błyszczącej aureoli złocistordudych włosów. Odniosła przedziwne wrażenie, że choć

teraz jego wzrok utkwiony był w horyzont, jeszcze ułamek sekundy wcześniej patrzył na nią.

No co, widziałeś? - powtórzyła.

- Tak, co wieczór przez cały ubiegły tydzień - odparł szorstko i wszedł z powrotem do doimi.

Dany została na werandzie. Nie była zła. Ogarnął ją łagodny smutek.

Nick wyciągnął na werandę dwa fotele, a pomiędzy nimi ustawił do góry dnem skrzynkę. Usiadła na jednym z nich, krzywiąc się, gdy plastikowe obicie przykleiło się do jej rozgrzanych pleców i ramion. Wraz z zachodem słońca cichły dzienne odgłosy lasu, a ich miejsce zajmowały nocne dźwięki. Rzekotki rozpoczęły swoje namiętne rechotanie, a spomiędzy drzew dobiegał piskliwy krzyk polującej sowy.

Duża szmaragdowozielona jaszczurka pojawiła się na szczycie schodów, nadymając swoje karmazynowe wole. Parę minut później mniejsza, jaśniejsza jaszczurka wypełzła spomiędzy splątanych pnaczy bluszczu, po czym obie szybko zniknęły w leśnym poszyciu. Szykują się małe jaszczurzátka, pomyślała Dany sarkastycznie. Ale czyż cała ta pulsująca, obfita bujność nie była przesycona erotyką? Gorączkowa aktywność w nie kończącej się walce o przetrwanie. Czy właśnie dlatego bała się, widząc rzeczy, których do końca nie rozumiała, które były zbyt potężne, by mogła nad nimi zapanować?

Nick postawił obok niej stary emaliowany kubek z kawą. Podniosła go, wdychając gorzkawą woń płynu, po czym pociągnęła łyk.

- Cudownie. Wreszcie coś ciepłego do picia po całych czterech dniach.

Uśmiechnęła się do niego, lecz on to zignorował i, opadłszy na drugi fotel, kołysał w dłoniach kubek, markotnie wpatrując się w wirującą kawę. Dzieliło ich może pół metra, a jednak Nick zdawał się być oddalony od niej o tysiące kilometrów. Siedziała, patrząc w ciemność i nie mając odwagi przerywać ciszy.

Opróżniwszy w końcu swój kubek, Nick wstał z fotela i zniknął w domu. Parę chwil później pojawił się ponownie ze stertą poszarpanych czasopism i małym drewnianym pudełkiem.

- Znalazłem to w jednym z pokoi. Rozerwij się trochę.

Rzucił jej czasopisma na kolana, a sam usiadł i otworzył pudełko. Spojrzawszy ukradkiem, dostrzegła w nim miniaturowy komplet szachów. Rozłożywszy szachownicę na skrzynce, rozsiadł się wygodnie i z brodą opartą na splecionych dłoniach wpatrywał się w nią uważnie.

Dany podniosła jedno z czasopism. Było w języku hiszpańskim, ale po zdjęciach zorientowała się, że jest to magazyn mody sprzed około pięciu lat. Zaczęła go kartkować, lecz jej wzrok wciąż wędrował ku Nickowi zatopionemu całkowicie w szachach i najwidoczniej niepomnemu nawet jej obecności. Stworzył wokół siebie strefę ochronną, odpychając ją.

Był typowym samotnikiem - czyż nie powiedział jej tego? Samowystarczalny, nie potrzebował żadnej ludzkiej istoty. Teraz, kiedy odrobinę uchylił drzwi kryjące tajemnice jego dzieciństwa, by po chwili zatrzaskać je z powrotem, zaczęła rozumieć, dlaczego.

Migocący płomyk świecy przeistoczył jego twarz w ożywioną maskę na tle ciemności nocy. Wydatne kości policzkowe zaostriły się jeszcze bardziej, a zaciśnięta linia ust naprężyła się. Oczy zaś, w pół schowane za firanką czarnych rzęs, zyskały zimny błysk zielonego lodu.

Dała za wygraną z czytaniem i oparłszy się wygodnie w fotelu, śledziła jego rysy. Jakiż on był przystojny... Ale to było coś więcej. Nawet teraz, gdy odpoczywał, biła od niego owa zwierzęca energia i siła zatrwajająca swoją potęgą.

Usta miała suche, zaś ręce wilgotne i zimne. Raz jeszcze ogarnęło ją głębokie przeczucie, że coś się wkrótce wydarzy. Co, tego nie wiedziała. Lecz kiedy

gdzieś w oddali cicho zahuczał grzmot, a błyskawica na ułamek sekundy rozświetliła horyzont, zagłębiła się jeszcze bardziej w fotelu i chwyciwszy kolejne czasopismo, zaczęła przewracać jego strony niezdarzymi palcami.

Tym razem trafiła na brukowiec zajmujący się międzynarodowymi plotkami: gwiazdy filmowe przy swoich lazurkowych basenach, najmłodszy potomkowie pomniejszych rodów królewskich Europy i prawdopodobnie najświeższe skandale z ich życia miłosnego, chociaż tekst pisany po hiszpańsku był dla niej niezrozumiały. Przeglądała pismo niedbale i nagle skamieniała. Z fotografii patrzył na nią - tak, było nawet jego nazwisko - Nick Devlin. Jakże inaczej wyglądał w białym, wizytowym garniturze i czarnym krawacie na przyjęciu wśród śmietanki towarzyskiej, obejmując w taliu smukłą, atrakcyjną blondynkę w czarnej wydekoltowanej sukni. Odwróciwszy głowę, uśmiechał się do niej, a Dany wyczuła w tym tygrysim uśmiechu jakiś magnetyzm, który wręcz emanował z lichej kartki papieru.

Nick nigdy się nie uśmiechnął do niej w ten sposób... Spoglądała na wyblakłe zdjęcie, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą i czując, jak coś się w niej w środku gotuje, aż w końcu wydobył się z niej zduszony dźwięk, niemalże skowyt.

Nick podniósł wzrok znad szachownicy.

- Co się stało?

- Nic.

Czuła silny ucisk w klatce piersiowej. Nie będąc w stanie spojrzeć na niego, kurczowo ścisnęła czasopismo. Siegnęła i zgrabnie wyrwała je z jej rąk. Dostrzegła, jak przebiega oczyma obie strony i nagle zatrzymuje wzrok. Uśmiechnął się do siebie.

- Boże drogi, Annabel! Tak... - Przybliżył zdjęcie do płomyka świecy. - Jestem pewien, że to ona. A może to Sarah-Jane?

- Tak, z pewnością trudno to sobie przypomnieć - warknęła Dany. - Po prostu jedna z tysięcy.



- No, niezupełnie. Jego białe jak u pantery zęby błysnęły w uśmiechu. Odrzucił jej czasopismo, lecz ona umyślnie złożyła je i odłożyła na stos innych.

- Czyżbym wyczuwał w pani głosie nutę potępienia, panno Trent?

- Oczywiście, że nie. - Odgarnęła do tyłu włosy, szukając ucieczki przed bólem w pełnym złości ataku.

- To, co robisz ze swoim życiem, nie ma nic wspólnego ze mną.

- Dokładnie - zgodził się chłodno. - Ale wyłącznie dla twojej informacji - tak, to prawda. Znałem wiele kobiet. Prawdą jest również, że na niektórych bardzo mi zależało. Chciałem zadowolić je wszystkie i zostawić szczęśliwymi. Jednakże - zielone oczy spojrzały na nią wyzywająco - „zostawić” jest tutaj słowem-kluczem. Jeszcze nigdy do tej pory nie spotkałem kobiety, dla której byłbym gotów poświęcić wolność, kiedy już wygaśnie namiętność.

- Rozumiem. - Żeby położyć już kres tej uszczyp-  
liwej rozmowie, sięgnęła po kolejne czasopismo, lecz on mówił dalej.

- Czy pozostawanie w bliskim kontakcie z tak nieskrępowanym samcem razi pani delikatne uczucia, panno Trent?

- Absolutnie nie - odparła z lodowatą wyższością. Odchyliwszy się do tyłu, skrzyżowała nogi i otworzyła czasopismo na pierwszej stronie.

- To dobrze.

Zerknąwszy spod rzęs, ujrziała, jak powraca do swojej rozgrywki szachowej, momentalnie angażując się w nią bez reszty. Odłożyła czasopismo i siedziała z brodą opartą na dłoni, obserwując, jak pionki i figury przesuwiają się po szachownicy tam i z powrotem, niczym w jakiejś niemej, stylizowanej bitwie.

- Czemu ruszyłeś ten pionek? - Spytała nagle.

- Żeby ochronić tyły.

Nie podniósł nawet wzroku, a ona powoli przysuwała się, aż wreszcie usiadła naprzeciwko niego, opie-

rając się łokciami na skrzynce. Zrobił jeszcze jeden ruch i spojrzał na nią.

- Powiedz, jeśli masz ochotę zagrać.

- Och, nie, nie umiem grać w szachy.

- To by się nawet zgadzało. W końcu jest to gra wymagająca wysokiego poziomu logiki i bardzo zdyscyplinowanego umysłu.

- Ach, tak. - Spuściła głowę.

Wzdychając szczerze, jednym ruchem ręki zmiotł pionki z szachownicy.

- No już dobrze, dobrze, nauczę cię grać.

- Nie! Pamiętaj, co ci mówiłem. Nie wolno przesuwac pionków do tyłu.

- Przepraszam. - Dany szybko przestawiła pionek na inne pole.

- Teraz dobrze. - Wykonał swój ruch. - A co zrobisz z moim gońcem?

- Hm. Może tak? - Postawiła swoją królową obok figury Nicka.

- Bardzo dobrze.

Uśmiechnął się do niej ze szczerym zadowoleniem, a ona nagle pomyślała: jeszcze parę dni i nigdy go więcej nie zobaczę, ale zawsze będę pamiętała tę chwilę. Migoczący płomień świecy, robaczki świętojańskie w rozgrzanej ciemności, słodki zapach jaśminu nad naszymi głowami i Nick uśmiechający się do mnie. Ogarnął ją słodki, lecz pełen smutku ból i gwałtownie sięgnęła ręką do szachownicy.

- Nie, teraz mój ruch.

Wyciągnął rękę w tej samej chwili i zetknęli się czubkami palców. Trwało to ułamek sekundy, lecz obydwójce odskoczyli jak oparzeni, patrząc na siebie z rozchyłonymi ustami. Poczuli to dziwne napięcie syczące w powietrzu pomiędzy nimi, śpiącego węża budzącego się ponownie...

- Jesteś zmęczona. Czas do łóżka - powiedział szorstko Nick.

- Ależ nie, gra się jeszcze nie skończyła - zaprotestowała słabo, jak gdyby w dalszym ciągu znajdując się pod wrażeniem tamtej chwili.

- Owszem, skończyła się. - Nick uśmiechnął się krzywo i w tej samej sekundzie zbił jej ostatniego pionka i uwięził króla.

- Szach-mat.

Wstał i zanim zdążyła się cofnąć, wziął ją na ręce, po czym schylił się po ogarek i wcisnął jej w dłoń. Wniósł ją do kuchni, otwierając ramieniem drzwi.

Dany rozpaczliwie usiłowała skoncentrować całą uwagę na płomyku cieknącej stearyną świeczki, lecz mimo to każdą oajmniejszą komórką swego jestestwa świadoma była otaczających ją silnych ramion, klatki piersiowej przyciśniętej do jej piersi i oddzielonej od nich jedynie cienką bawełną.

Zaniósł ją do sypialni i położył na brzegu łóżka. Wyjął świecę z jej zacisniętych palców, postawił na surowych deskach podłogi i popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Do łóżka.

- Dobrze, tylko zdejmę buty.

Podniósłszy nogę, zaczęła odplątywać przetarte sznurowadła, lecz straszliwe zmęczenie, które ją nagle ogarnęło, sprawiło, że palce stały się sztywne i niezgrabne. Nick przyglądał się jej przez chwilę, po czym przykucnął i zdecydowanym ruchem rozwiązał oba buty, zdjął je i postawił przy łóżku.

Począł, aż się położy, a potem schylił się i zgasił świecę. Przez moment poczuła delikatne dotknięcie jego ręki na czole.

- Dobranoc, Dany. Śpij dobrze - powiedział łagodnie.

- A dokąd ty idziesz? - Podniosła się na łokciu, słysząc jego oddalające się kroki. - Nie będziesz tu spał?

Nastała chwila ciszy.

- Nie, nie sądzę. Zestawię sobie dwa krzesła.

Ależ nie możesz tak spać! - zaprotestowała w podnieceniu. - Będzie ci niewygodnie.

Kochanie, jestem tak zmęczony, że zasnąłbym na linie przeciągniętej nad Niagarą - odparł z sarkazmem.

- Ale... ale ja chcę, żebyś spał tutaj, ze mną.

- Nie, nie dziś w nocy.

Zaostrzonymi przez ciemność zmysłami wyczuła delikatne napięcie w jego głosie.

- Czemu nie? - spytała. - Przecież spaliśmy razem przez cztery ostatnie noce, prawda?

Tak, ale to było co innego.

Nie rozumiem, dlaczego. W końcu biorąc pod uwagę to, co czujemy do siebie nawzajem... - Jej głos zdrzął i zamilkł. - Proszę, Nick, zostań ze mną - dodała cicho.

- Dlaczego? Chyba się nie boisz?

- Właśnie że się boję. - Z wdzięcznością chwyciła się tej wymówki. - Ta historia, którą mi opowiadałeś, jak waż wślizgnął się do twojego namiotu, kiedy ty byłeś...

- Boże, żałuję, że kiedykolwiek wspomniałem o tym cholernym gadzie - przerwał jej ze złością. - Mówiłem ci już setki razy, że na jednego jadowitego węża przypada z tuzin zupełnie niegroźnych. Zresztą kiedy robiłem kawę, przyszedłem tu, żeby sprawdzić. Żadnych dzikich zwierząt z wyjątkiem paru karaluchów, które wyrzuciłem.

- Tak, ale... - Improvizowała, niezupełnie pewna, czemu tak bardzo chce, żeby Nick z nią został. Wiedziała jedno: że rozpaczliwie go potrzebuje. - Czy nie słyszałeś przed chwilą tego szelestu? Jestem pewna, że tam coś jest.

- Nic nie słyszałem. A zresztą każdy waż miałby jeszcze mniejszą ochotę na spotkanie z tobą niż ty na spotkanie z nim.

- Wątpię w to. - Cichy śmiech Dany przerodził się w chrapliwy dźwięk.

Nick usiadł na łóżku i wziął ją za rękę. Poczowała zgrubienia na jego palcach. Kciukiem delikatnie głąaskał

wierzch jej prawej dłoni. Wiedziała, że robi to, aby ją uspokoić. Łagodny, rytmiczny ruch hipnotyzował ją, wysyłał impulsy biegnące od palców poprzez nadgarstek do ramienia, aż wreszcie z na wół przymkniętymi oczyma pochyliła się w jego stronę, a promień księżyca wpadający przez wąską szczelinę w okiennicy rzucił blade światło na jej twarz.

-Wiesz co? - Jego głos zabrzmiał niemal czule.

- Czasami wyglądasz jak dwunastoletnia dziewczynka.

- I czasami tak się zachowuję - wyszeptła ponuro.

- Wcale nie miałem tego na myśli. - Roześmiał się.

- Ale nie byłabyś Dany Trent, gdybyś od czasu do czasu nie zrobiła jakiegoś głupstwa, prawda? - Nastąpiła chwila ciszy. - W porządku, wygrałaś. Zostaję. Zamknę tylko okiennice na wypadek, gdyby jakieś zabłąkane węże miały ochotę się tu dostać.

Puścił jej dłoń. Deski w podłodze cichutko zaskrzyptały, a potem trzasnęły okiennice. Podszedł do łóżka od drugiej strony. Najwyraźniej widział w ciemności tak dobrze jak zielonookie jaguary polujące na zewnątrz. Po chwili materac się ugiął. Usłyszała jeszcze, jak odpina i rzuca buty. Wreszcie wślizgnął się do łóżka obok niej.

- W dalszym ciągu przestraszona? - wyszeptał.

- Nie. - Uśmiechnęła się sennie w ciemności.

- To dobrze. - Odkręciwszy się na drugi bok, z dała od niej, zdawał się zapadać w natychmiastowy sen.

Do Dany jednak sen nie przychodził pomimo przemęczenia. Może była zbyt wykończona, a może Nick miał rację. Dzisiejsza noc różniła się od paru poprzednich, kiedy spali pod prymitywnym dachem z palmowych gałęzi. Intymność wspólnego łóżka, pomimo obrzydliwego, przesyconego kurzem materaca, stwarzała złudzenie, jak gdyby byli kochankami lub nawet - kurczowo chwyciła się tej myśli, by po chwili ją odrzucić - mężem i żoną...

W nocy obudził ją brzęczący komar. Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w głuchą ciemność, po

czym zdała sobie nagle sprawę, że nie leży już sztywno przy krawędzi łóżka, tylko na samym środku, przytulona do Nicka. Na karku czuła jego ciepły, równy oddech. Pasek od dżinsów ocierał się delikatnie o jej plecy, zaś jego ręka leżała na niej, jak gdyby przytulał ją do siebie.

Przerażona, napięła każdy najdrobniejszy mięsień i zaczęła powolutku się odsuwać. Niemalże udało jej się wyslizgnąć spod ciężkiego ramienia, kiedy Nick wymamrotał coś przez sen i znów przycisnął ją zaborczo do siebie.

Nie może go obudzić. Był najwyraźniej wyczerpany. Poddała się i wróciła do swej poprzedniej pozycji, a on, jak gdyby czując brak oporu z jej strony, odprężył się. Pewnie pomyślał we śnie, że jest z jedną z jego dziewczyn - Annabel, Sarą, Jane, a może tą najnowszą. Uśmiechnęła się smutno, lecz nagłe ukłucie bólu sprawiło, że głęboko wciągnęła powietrze. Upłynęło wiele czasu, zanim ponownie zapadła w sen...

Kiedy się wreszcie obudziła, światło słoneczne sączyło się poprzez szczeliny w okiennicach, a Nicka już nie było. Przesunęła rękę na jego stronę łóżka, lecz materac był zimny i tylko niewielkie wgłębienie świadczyło o tym, gdzie spał. Ziewnęła i usiadła, przeciągając się. Wysunęła się spod gryzącego koca i poczłapała do kuchni.

Tam również go nie było. Na stole stał poobijany kubek napełniony sokiem cytrynowym i wodą, reszta mango i puszka zapiekanej fasoli. Wypiła sok cytrynowy do ostatniej kropli, przekonana, że nigdy w życiu nie próbowała czegoś równie dobrego, po czym obrała i zjadła mango. Na fasolę nie mogła nawet patrzeć. Jedną z dobrych stron tropiku o tej porze roku był fakt, że rzadko miało się ochotę na coś konkretnego do jedzenia.

Wzięła jeszcze jedno mango i wyszła na werandę. Musiała spać całe wieki. Nic dziwnego, że Nick nie

czekał na nią. Ale gdzie teraz jest? Jedząc, przez cały czas nasłuchiwała jego kroków. Nie zjawiał się, więc zabrała tenisówki i kawałek mydła tak już cienki, że niemal przezroczysty, i poszła do swojej „łazienki”.

Naumyślnie długo stała pod zimną kaskadą wody chłodzącą jej ciało, mając nadzieję, że Nick wróci do hacjendy przed nią. Jednakże tylko świeża sterta owoców na stole świadczyła o jego przelotnej obecności. A więc wrócił i poszedł z powrotem. Prawdopodobnie zajrzał do sypialni i wiedział, że już wstała, a mimo to nie poczekał, żeby się z nią zobaczyć.

Zupełnie nie myśląc o tym, co robi, Dany wzięła do ręki jedno mango i potarła je o policzek, marszcząc przy tym brwi. Znalazła pęknięty półmisek i, wyłożywszy go liśćmi jaśminu, ostrożnie poukładała na nim owoce, tworząc błyszczącą, pachnącą piramidę.

Wyszła na werandę. Żeby przytłumić dziwny niepokój, który ją ogarnął, wróciła do domu i snuła się bez celu z pokoju do pokoju, aż wreszcie ponownie dotarła do sypialni.

Otworzyła na oścież okiennice, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, a kiedy się odwróciła, w najdalszym zakątku pokoju dostrzegła wąskie drzwi. Gdy je uchyliła, jej oczom ukazała się mała garderoba. Wewnątrz znajdował się tylko drewniany kufer.

Nie było łatwo go otworzyć, ale kiedy wreszcie zardzewiałe zawiasy puściły, ujrzała warstwę zmiętej bibuły. Odchyliła ją ostrożnie palcem. Pod spodem zobaczyła drukowany w kwiaty materiał. Wyciągnęła go z zapartym tchem. Okazało się, że jest to prosta, bawełniana sukienka na lato, spłowieła wzdłuż przymarszczeń. Dany przyłożyła ją do siebie - ona i ta nieznaną kobietą miały prawie identyczne sylwetki.

Pod spodem były też inne ubrania, głównie sukienki, ale również męski garnitur z beżowego płótna oraz dziecięce podkoszulki i szorty. Oczy Dany zasłzy mgłą, gdy patrzyła na koszulki ze spłowiełymi nadrukami komiksowych postaci i sloganów. Rodzina, która przy-

była tu pełna nadziei, zmuszona do odwrotu przez nieubłagany las...

Na samym spodzie kufra znajdowała się osobna paczuszka, zawinięta w materiał. Gdy ją otworzyła, rozszedł się delikatny, aromatyczny zapach.

Oczom Dany ukazała się długa wieczorowa suknia z jasnobursztynowego jedwabiu. Głęboko wycięty dekolt i dół spódnicy zdobiła przymarszczona, gruba, kremowa koronka. Była to zdecydowanie najpiękniejsza suknia, jaką zdarzyło jej się widzieć. Z pewnością należała do tej rodziny od pokoleń. Nieoczekiwanie coś ścisnęło ją w gardle. Inne sukienki - tak, ale którą kobieta zostawiłaby takie чудо? Nick musiał mieć rację - byli tak zniechęceni, kiedy ich marzenia zamieniły się w ruinę, że nawet zabranie tej wspaniałej sukni stanowiło zbyt wielki wysiłek.

Dany odłożyła suknię do kufra wraz z resztą ubrań i ponownie wyszła na werandę. Odruchowo spojrzała na przegub dłoni, ale po zegarku pozostał jedynie błąd ślad na skórze. Cieniutka bransoletka zerwała się niepostrzeżenie parę dni temu podczas przedzierania się przez gęste zarośla.

Teraz musi być gdzieś koło południa. Na pewno Nick zaraz wróci. A jeśli nie, trudno, z pewnością nie będzie go szukać i ryzykować kolejnej bury. Z drugiej strony duma nie pozwalała jej kręcić się tu dłużej i czekać, aż on się łaskawie zjawi. Pójdzie poszukać sadu i zerwie trochę cytronetek na jutro na śniadanie.

Wyruszyła wzdłuż strumienia i zatrzymując się tylko raz, żeby powąchać słodko pachnące kwiaty róży chińskiej, doszła do sadu. Był bardzo zarośnięty, ale wciąż owocowało parę drzewek. Odnalazła drzewo cytrynowe z poskręcanyimi gałęziami obsypanymi małymi, zielonymi owocami o cierpkim smaku. Wyciągnęła koszulę ze spodni i zebrała kilkanaście cytronetek.

Tuż za sadem usłyszała cichy plusk i szum małego wodospadu. Może by tak posiedziała przy nim i ochłodziła obolałe stopy? Ułożyła cytrynki w małą



piramidkę, pokonała przeszkodę w postaci wysokich, po pas paproci i zamarła w bezruchu. Tuż przed nią strumień pieniał się łagodnie pomiędzy omszałymi kamieniami, a dalej wpadał do głębszego rozlewiska o bardzo wolno płynącej wodzie. Na brzegu zauważyła obnażoną do pasa postać mężczyzny. To był Nick.

scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dany była pewna, że posuwa się bezszelestnie, a mimo to Nick odwrócił się gwałtownie, jak gdyby ostrzegł go jakiś szósty zmysł. Zmarszczył brwi i przez ułamek sekundy dojrzała w jego twarzy zniecierpliwienie, a nawet gniew. Chciała odwrócić się i odejść, lecz on przywołał ją do siebie rozkazującym gestem.

- A więc w końcu mnie wytropiłaś - burknął.  
- Ciekawy byłem, jak długo ci to zajmie.

Och, Nick, tak bardzo za tobą tęskniłam. Czemu unikałaś mnie przez cały dzień? - miała te słowa na końcu języka, lecz zamiast tego uniosła w górę swoją małą, okrągłą bródkę.

- Nie pochlebiaj sobie - odparowała. - Wcale cię nie szukałam. Znalazłam sad i już miałam wracać, kiedy usłyszałam wodospad. Ale nie martw się, zaraz sobie pójde i zostawię cię w spokoju.

- Skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz zostać.  
- Przykucnąwszy, spojrział na nią zmrużonymi przed słońcem oczyma. - Wyglądasz dużo lepiej.

-1 czuję się lepiej. - Mimowolnie uśmiechnęła się do niego. - Miałaś rację, byłam wyczerpana. Ale teraz już wszystko w porządku.

- Hmm. - Zaciął usta. - Może przydałby ci się jeszcze jeden nocleg tutaj i kolejne pół dnia, zanim wyruszymy w ten ostatni etap podróży. Zostaniemy tu jeszcze jeden dzień.

Położywszy się z powrotem na brzuchu, znów zaczął wpatrywać się intensywnie w wodę.

Jeszcze jeden dzień w hacjendzie. Oczywiście, jeśli będzie podobny do dzisiejszego, to prawie nie będzie

widziała Nicka, więc wszystko w porządku... Ale jeszcze jeden wspólny wieczór na werandzie, zapach jaśminu, od którego kręciło jej się w głowie jak po szampanie... I kolejna noc obok niego w łóżku...

Na siłę odwróciwszy wzrok, nerwowo obracała na palcu swój zaręczynowy pierścionek. Poczwała strach. Powinien zmartwić ją pomysł spędzenia tu jeszcze jednego dnia, powinna zapewnić go, że jest w świetnej formie i nalegać, by poszli dalej. Powinna, przecież każdy krok zbliża ją do Marcusa... Ale jednocześnie oddala ją od Nicka.

- Masz zamiar pomóc czy nie?

Wyjawszy rękę z wody, pociągnął ją nagle za kostkę, tak że upadła na kolana obok niego.

- Pomóc ci? A co ty robisz?

- Łowię twoją kolację.

Wskazał za siebie kciukiem i dopiero teraz dostrzegła kilka małych srebrnych rybek leżących na soczystej trawie. Rozejrzała się, zdziwiona.

- Ale czym?

Był tak pomysłowy, że sprokurowanie wspaniałej wędki i żyłki byłoby dla niego, bez wątpienia, dziecinadą, ale niczego takiego nie zauważyła.

- Tym. - Podniósł rękę. - Nie łapałaś nigdy ryb gołą ręką?

- Nie, nigdy.

- Zdumiewające. Byłem pewien, że jest to obowiązkowa część edukacji każdego mini-Supermana.

- W moim przypadku nie była. - Zaciśnęła wargi.

- Cóż, to nie takie proste.

- Dlaczego? Nie, nie mów mi - kontynuowała wojowniczo. - Z pewnością wymaga to wysokiego poziomu logiki i bardzo zdyscyplinowanego umysłu.

- Niezupełnie. - Błysnęły jego białe zęby. - Raczej absolutnego bezruchu i cierpliwości, które dla takiego ruchliwego stworzenia jak ty byłyby... - Przerwał.

- Masz pyłek kwiatowy na nosie.

- Słucham? - Jego błyskawiczne zmiany nastroju zupełnie ją dezorientowały.

- Pyłek. Wąchałaś kwiaty. - Przyniósł jej twarz do swojej, tak że ich oczy znajdowały się zaledwie parę centymetrów od siebie. - Zupełnie jak złote piegi. Nie ruszaj się - wymamrotał, jak gdyby do siebie.

Bardzo delikatnie potarł jej nos opuszką palca, po czym zdmuchnął maleńką chmurkę pyłku. Zatrzymał palce na jej policzku, lecz po krótkiej chwili cofnął dłoń.

- A więc robisz tak - tłumaczył energicznie. - Kładziesz się na brzuchu i bardzo delikatnie zanurzasz rękę w wodzie, o tak. Trzymaj palce rozcapierzone, pozwól prądowi wody unosić je. Czekać, aż ryba sama ci w nie wpłynie i wtedy chwycić ją. To wszystko.

- Wszystko?

- Tak. Ale w razie gdybyś miała wątpliwości - posłał jej kolejny uśmiezek - nie musisz zdejmować do tego koszuli. Jest to całkowicie dobrowolne. W zupełności wystarczy podwinięcie rękawów.

Przez następną godzinę lub nawet dłużej leżeli obok siebie z rękoma falującymi w przejrzystej wodzie niczym wodorosty. Raz ich palce się zetknęły. Dany cofnęła się gwałtownie jak porażona prądem, bąknęła „przepraszam” i od tej pory uważała, żeby się to więcej nie powtórzyło.

Jej rybki zawsze się jakoś wymykały, podczas gdy Nick złapał jeszcze dwie małe. Próbowala, jak mogła, ale nie potrafiła skoncentrować się na łowieniu ryb. Każdy nerw jej ciała pulsował świadomością tego błyszczącego, na wskroś męskiego torsu wyciągniętego obok niej. On, oczywiście, nie miał takich problemów, pomyślała ze złością. Jak zwykle był całkowicie pochłonięty tym, co robił. Zmarszczył lekko brwi, przymrużył oczy, a zaciśnięte usta świadczyły o koncentracji. A jednak mimo napięcia i surowości nadających jego twarzy wyraz wrogości, z jego wąskich warg wycierała zmysłowość, której nigdy przedtem nie zauważyła.

Podniósł wzrok i uchwycił jej spojrzenie. Patrzyli sobie w oczy przez zdający się nie mieć końca ułamek sekundy. Nick jakby ocknął się i wykrzyknął:

- Uważaj! Masz jedną!

Instynktownie zacisnąwszy dłoń, Dany wyciągnęła z wody trzepoczące, srebrne ciało.

- Ale duża. Daj mi ją! - zakrzyknął triumfalnie.

Lecz kiedy pochylił się w jej kierunku, zupełnie świadomie otworzyła rękę. Mała rybka wygięła się na jej dłoni w łuk, wpadła do wody, zamigotała srebrem i zniknęła.

- Dlaczego, do diabła, to zrobiłaś? Była naprawdę piękna. - Nick patrzył na nią w zdumieniu.

- Nie wiem. - Zwiesiła głowę. - Miała w sobie tyle życia, że po prostu nie chciałam, żebyś ją zabił.

Westchnął głęboko.

- Och, a więc postąpiłaś zgodnie ze swoją własną logiką. Podejrzewam jednak, że nie będziesz miała nic przeciwko zjedzeniu tych? - Wskazał na ryby, które złowił i rzucił jej kolejne wściekle spojrzenie.

Chwycała za łańcuch, który miała na szyi, i podsunęła mu pod nos maskę jaguara.

- Widzisz to? Właśnie tak wyglądasz, kiedy jesteś wściekły. Wiesz o tym? Wykrzywione usta i ciskające gromy oczy.

-A więc strzeż się, kochanie. - Wciąż oddychał głęboko. - Jaguary pochłaniają takie mini-Tarzany, jak ty, na przekąskę.

- Nie jestem mini-Tarzanem - warknęła wściekle.

- Nie? - Jego wzrok prześlizgnął się po jej włosach ciasno związanych na karku w węzeł, wyciągniętej wojskowej koszuli i spodniach. - A więc udało ci się mnie nabrać, kochanie. - Uśmiechnął się. - Z pewnością nie jesteś również Jane.

Gdy ta rzucana od niechcenia kpina wywołała grymas na jej twarzy, poderwał się na nogi i wyrwawszy z pobliskiej kępy bambusa zielony pęd, zgrabnie nadział na niego rybki. Nie spojrzawszy nawet, czy Dany

idzie za nim, chwycił koszulę i wyruszył w kierunku hacjendy.

Powitał ją na werandzie szorstkim:

- Ryby są w kuchni. Zajmę się nimi później, kiedy wezmę prysznic. - Zbiegł po schodach tupocząc.

Nienawidził jej tak bardzo, że nie mógł znieść jej towarzystwa. Stała patrząc, jak odchodzi. Wierzchem dłoni otarła łzy przepelniające jej oczy. W takim razie czemu, czemu na Boga, przedłużał ich pobyt tutaj? Dziś wieczorem zdecydowanie oświadczy mu, że czuje się dostatecznie dobrze, żeby pokonać tę trasę. Jeśli to konieczne, będzie się nawet czołgała, by raz na zawsze uwolnić się od Nicka Devlina.

Począpiała ciężko do domu, ciągnąc za sobą nogi, jak gdyby każda ważyła tonę. Ryby leżały przy kuchni. Oczywiście, nawet ich nie dotknie - jeszcze jej życie miłe, a poza tym nie chciała tego robić. Jednakże mogła przynajmniej nakryć do stołu. Wysypała przyniesione ze sobą cytrynki, ułożyła mango w stosik i ustawiła pośrodku świece. Ponieważ w dalszym ciągu wyglądało to ubogo, wyszła na werandę, zerwała parę kwiatów bluszczu i rozrzuciła je pomiędzy świecami.

Przez cały czas z nadzieją nasłuchiwała kroków Nicka. Ależ z ciebie głuptas, mówiła do siebie z pogardą. To oczywiste, że zachowywała się tak, ponieważ nie lubiła być sama tu, w lesie, ale przecież istniały gorsze rzeczy niż samotność, na przykład milczący, posepny towarzysz zatopiony w swoich własnych myślach. Nawet jeśli zdecyduje nie wracać do północy, nic ją to nie będzie obchodziło. Przerzuwając ostatni delikatny kwiat bluszczu, umieściła obie połówki dokładnie pośrodku stołu.

Słońce było już całkiem nisko, gdy usłyszała kroki.

Przycupnęła na jednym z foteli na werandzie. Nick wszedł powoli po schodach, początkowo nie zauważając jej. Gdy wreszcie ją dostrzegł, zatrzymał się..

- Cześć! - Zwrócił się nie tyle do niej, co do powietrza gdzieś obok.

- Cześć - odpowiedziała ostrożnie, postanowiwszy, że nowa Dany nie narazi się już nigdy więcej na jego drwiny.

- Zajmę się rybami. Życzysz sobie do nich plasterek cytryny?

- O tak, bardzo proszę - odparła uprzejmie i wstała.

- W takim razie pójdę się przyszykować.

Zamknęła za sobą drzwi do sypialni i oparła się o nie, czując, jak całkowicie pogrąża się w nieszczęściu czarnym jak noc, która wkrótce wokół nich zapadnie. Dlaczego nienawidził jej aż tak bardzo? Czy świat pełen był mężczyzn takich jak on: wytrącających z równowagi, niespokojnych i niebezpiecznych? Jeśli tak, to im szybciej wróci do Marcusa, tym lepiej. W ostatnich dniach jednakże nawet uspokajająca myśl o Marcusie nie przywracała jej poczucia bezpieczeństwa. Ten straszny sen w jakiś sposób wpłynął na jej umysł, tak że nie była w stanie skoncentrować się na narzeczonym, ani przypomnieć sobie twarzy jego mglistej postaci.

Wyprostowała się powoli i podeszła do szerokiego parapetu, na którym trzymała torbę. Wyjęła lusterko i przejrzała się w nim. Rozszerzone oczy błyszczały niezdrowo, usta drżały, a spod delikatnej opalenizny wyzierała bladość. Wyglądała tak, że jeszcze jedno ostre słowo z jego strony, a załame się zupełnie i rozplacze.

Nie, nie miała zamiaru do tego dopuścić. Wyjęła błyszczak, pomalowała nim swoje pełne wargi i osuszyła kawałkiem pomiętej papierowej chusteczki. Bujne włosy, które spinała dla ochłody, były w totalnym nieładzie, częściowo zaczesane do góry, częściowo opadające na twarz. Założyła kosmyki za uszy, spojrzała na siebie i strzepnąwszy ze spodni suche liście, wykrzywiła twarz w grymasie. Całe szczęście, że nie czekała jej kolacja u Ritza.

Nick byłby wtedy w garniturze, jak na tym wyblakłym zdjęciu - może w plisowanej białej koszuli albo w haftowanej jedwabnej. Podczas kiedy ona... A co

ona by założyła? Może tę czarną atłasową sukienkę mini, którą kupiła w styczniu na wyprzedaży, a której nie miała odwagi założyć w obecności Marcusa? Może coś nowego, kupionego specjalnie na tę okazję. A może... Żołądek podszedł jej do gardła. W połowie zlek-niona, a w połowie podniecona, spoglądała na drzwi do garderoby. Pomyśli, że zwariowała. Jeśli w ogóle cokol-wiek zauważy. Zaczynała czasami podejrzewać, że na-wet gdyby wyrosły jej trzy głowy, on niczego by nie dostrzegł.

Mini-Superman... mini-Tarzan... z pewnością nie jesteś również Jane... lubię, kiedy moje kobiety są po prostu kobietami...

Oczywiście, nawet nie wiedziała, czy będzie na nią pasować. Już w następnej chwili stała przy kufrze, nerwowo rozrywając bibułę i wyciągając suknię. Drżącymi rękoma zdjęła spodnie i ściągnęła koszulę przez głowę, zbyt niecierpliwa, by rozpinąć guziki.

Suknia opadła na jej ciało jak chłodna woda. Wygładziła spódnice, poprawiła piersi w głęboko wyciętym staniku i pozapinała maleńkie guziki. Suknia była troszeczkę za ciasna – jeszcze tydzień temu nigdy by się w nią nie wcisnęła, pomyślała posepnie.

Naturalnie nie było lustra, więc tylko zerknęła w dół. Fałdy bursztynowego jedwabiu uwydatniały jej smukłą kibić i płaski brzuch, zaś kremowa koronka ocieniała pełne piersi wymykające się spod marszczonego stanika. Naga szyja i ramiona jak gdyby wyłaniały się z kremowej piany.

Wyjęła spinki z włosów, potrząsnęła głową i kaskady złocistorudego ognia spłynęły na jej ramiona. Uniosła dumnie głowę i z kołatającym w piersi sercem wkroczyła z powrotem do kuchni.

Z początku Nick nic nie zauważył. Stał tyłem do niej przy kuchni, a skwierczenie ryb na patelni zagłuszyło odgłos jej kroków. Lecz kiedy przystanęła w drzwiach, szeleszcząc cicho spódnicami, zeszytniał, jak gdyby wyczuwając ją za sobą, po czym odwrócił się wolno.



W bladym świetle świecy ujrzała, jak jego jadeitowe oczy rozszerzają się lekko, a wzrok wędruje ku włosom, ześlizguje się po szyi i ramionach i pochłania soczystą bujność jej piersi, pośpiesznie unoszących się i opadających pod jedwabiem. To spojrzenie sprawiło, że nagle Dany uświadomiła sobie z przerażeniem, co właściwie zrobiła. Siłą woli stłumiła ogarniającą ją pokusę, żeby uciec do sypialni, zedrzyć z siebie tę cudowną suknię i zastąpić ją starymi, bezpiecznymi spodniami i koszulą.

- Skąd to, do diabła, wytrzasnęłaś? - przemówił w końcu, a w jego głosie dało się wyczuć lekkie napięcie.

- Z kufra... w sypialni. - Starła się zapanować nad tremą. - Są tam również inne rzeczy, na przykład męski garnitur, ale nie sądzę, żeby na ciebie pasował.

- Nie wiedziałem, że mamy się przebrać do kolacji.

Zatrzymał wzrokiem jej spojrzenie, lecz udało się jej z niego wyzwolić i ujrzała butelkę białego wina stojącą pośrodku stołu.

- Gdzie to znalazłeś?

- Nie ty jedna przeprowadziłaś małe śledztwo. Pod domem znajduje się piwniczka. Jest już prawie pusta, jeśli nie liczyć opróżnionych butelek i sporej gromady pajaków. - Dany wdrygnęła się. - Ale znalazłem parę butelek tego.

Powitawszy z ulgą pretekst do poruszenia się, rozłożył scyzoryk i uzyskany w ten sposób mały korkociąg wkręcił w korek butelki.

- Oczywiście nie wiem, jak smakuje i nie bardzo mam jak je schłodzić, ale będę wdzięczny za każdą odmianę od tego diabelskiego rumu.

Korek wyszedł gładko. Nalawszy trochę wina do jednego z kubków, Nick ostrożnie spróbował.

- Hmm. Kiepskie, ale da się wypić. - Napełnił swój kubek, a potem jej. - Ryba powinna być już gotowa, więc...

Wskazał ręką stół, a kiedy wciąż stała w miejscu, nie będąc w stanie się ruszyć, podszedł do niej i z enigmatycznym wyrazem twarzy pokłonił się lekko. Pod-

niósł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek tak delikatny niczym muśnięcie skrzydełka kolibra.

- Kolacja podana, *mademoiselle* - rzekł z leciutką ironią.

- Dziękuję. - Złożyła mu głęboki ukłon, a kiedy odsunął jej krzesło, opadła na nie z wdzięcznością.

Gdy tylko odwrócił się do kuchni, pociągnęła łyk wina. Rzeczywiście, było lepsze od tej wody ognistej, ale nic ponadto. Wypiła kolejny duży łyk, kiedy postawił przed nią talerz z kilkoma chrupiącymi, smażonymi rybkami i cienkimi plasterkami cytryny.

- Dziękuję. - Tym razem uśmiechnęła się radośnie. - Wygląda przepysznie.

- To nie dla mnie. Nie przepadam za nowoczesną kuchnią. Szczerze mówiąc, wolę, żeby mój talerz nieco mniej przypominał martwą naturę Braque'a.

- Wiem, co masz na myśli. - Dany skwapliwie wykorzystała tę szansę powrotu na neutralny grunt.

- Niemal przezroczysty plasterek pasztetu, kawałek grzanki...

- I parę rzodkiewek udających paki róży. Dokładnie. - Wywrócił oczy z obrzydzeniem, po czym wskazał widelcem jej talerz. - W każdym razie, zjadaj to, co jest.

- Jeszcze wina? - Uniósł do góry butelkę.

- Och nie, dziękuję. Wypiłam wystarczająco dużo.

- Rzeczywiście wypiła już cały kubek, a oprócz tego Nick przepołowił dwa duże owoce mango i nalał sporo wina do środka każdego z nich. - Na ogół nie piję.

- W ogóle?

- Hmm... W zasadzie nie lubię tego. - Przygryzła wargę, nieco zażenowana własnymi niedociągnięciami.

- Podejrzewam, że ty wprost przeciwnie. To znaczy... - przerwała, gdy Nick roześmiał się, po raz pierwszy tego dnia spontanicznie.

- Nie jestem pijakiem, jeśli to masz na myśli, ale rzeczywiście lubię wino. W umiarkowanych ilościach.

Ciebie po prostu nikt nie nauczył pić wina. Próbowalaś kiedyś szampana?

- Raz czy dwa na weselach... aha, i podczas sześćdziesiątych urodzin dziadka. Ale oprócz tego... nie - przyznała niechętnie. - No, dobrze, powiedz to wreszcie: jestem trochę stuknięta. To znaczy jestem stukniętym mini-Tarzanem.

- Przysięgam ci, Dany - odparł nieco ochrypłym głosem - że po dzisiejszym wieczorze nigdy więcej nie popełnię tego błędu i nie oskarżę cię o podobieństwo do Johnny'ego Weismullera. - Omiótł spojrzeniem jej nieruchomą postać, a ona zdała sobie sprawę ze swojego przyspieszonego oddechu i mrowienia skóry. - Wyglądasz cudownie.

Jego wzrok utkwiony był w małej pulsującej żyłce na jej szyi. Nastąpiła długa chwila ciszy. Dany zdawało się, że słyszy, jak serce wali jej w piersi, lecz po chwili uświadomiła sobie, że to tylko kolejny odległy grzmot.

- Myślisz, że będzie burza?

- Możliwe. Wkrótce nadejdzie pora deszczowa.

Dolał sobie wina do kubka i zaczął stukać łyżką o talerz. Miał opuszczony wzrok i Dany mogła mu się teraz przyjrzeć. Niesforne kosmyki włosów opadły mu na czoło, a światło świecy i ciemny zarost złagodziły ostre rysy jego twarzy.

Nick zdawał się odgadywać jej myśli; gdyż podniósłszy wzrok, uśmiechnął się ponuro i dotknął ręką twarzy.

- Przepraszam za tę brodę. Twoja żyłtka nie wytrzymuje starcia z prawdziwym mężczyzną.

- Wyglądasz bardzo przystojnie, Nick. - Odwzajemniła mu uśmiech.

Słowa te wymknęły jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Westchnęła cicho. Boże, to to wino. Naprawdę nie powinna była tyle pić.

- Coś ci powiem - mówiła dalej, starając się zachować opanowanie. - Kiedy się stąd wydostaniemy, kupię ci butelkę szampana.

- Nie. - Uśmiechnął się do niej łagodnie, co z jakiegoś przedziwnego powodu sprawiło, że miała ochotę oprzeć głowę na stole i rozpłakać się. - To ja kupię tobie butelkę. A raczej całą skrzynkę, żeby rozpocząć twoją edukację alkoholową. Myślę, że Bollinger'79 będzie najlepszy. A może białe słodkie wino? Tak, Sauternes'89 to wino dla ciebie. Lekkie, słodkie i - troszkę zniżył głos - o aromacie przesyconym wonią wszystkich kwiatów lata.

- O, Boże! - Zmysłowe słowa Nicka sprawiły, że zakręciło jej się w głowie. Roześmiała się piskliwie, z trudem chwytając oddech. - To brzmi raczej jak magiczne zaklęcie.

- Bo tak jest, Dany - odparł poważnie. - Różne magiczne rzeczy mogą ci się przytrafić po jego wypiciu.

- Cóż... - Przyglądała mu się niepewnie, nie wiedząc, do jakiego stopnia mówił poważnie, a do jakiego z niej żartował. - Może napijemy się teraz kawy?

- Ja zaparzę, a ty wyjdź na zewnątrz. - Dopił wino i wstał.

Dany wzięła jedną ze świec i wyniosła na werandę. Usiadła i z brodą opartą na dłoni wpatrywała się w migocący płomyk. Pozostało jedynie dwa-trzy centymetry świecy - na jeden wieczór, potem czekała ich ciemność. Czuła ucisk w klatce piersiowej. Odetchnęła więc głęboko, by się rozluźnić, a jej płuca wypełnił zapach jaśminu

Kiedy rozległ się kolejny pomruk grzmotu, tym razem głośniejszy, nagle coś dużego, białego i bezkształtnego wpadło na werandę, trzepocząc jej nad głową. Z przeraźliwym krzykiem skoczyła na równe nogi, a po chwili pojawił się Nick z maczetą w ręku.

- Dany! Co u licha...?

Odjęła rękę od ust i wskazała:

- Tam!

Powędrował za jej wzrokiem i odetchnął, rozładowując napięcie.

- O, Boże, co ty wyprawiasz? Myślałem, że zastanę tu co najmniej grasującego jaguara.

Żeby dać upust swoim uczuciom, cisnął maczetą w drewnianą podłogę, gdzie wbita pionowo, wibrowała lekko, a sam podszedł do intruza, który, drżąc, siedział na jednej z okiennic.

Dany cofnęła się i oparła plecami o gęstwę jaśminu i bluszczu.

- Nie ruszaj się. Jeśli ją przestraszysz, może rzucić się do płomienia.

Powoli podniósł ręce i uwieził stworzonko w dłoniach. Kiedy podszedł do niej, Dany skuliła się.

- Nie bój się. - Rozchylił nieco dłonie. - Dobry Boże! To ćma księżycowa! - Podniósł na nią wzrok. - Tak jak ty zabłąkała się daleko od domu. Występuje raczej na Wschodnim Wybrzeżu Stanów.

- Och, biedactwo. - Serce Dany przepełniło wzruszenie. Jeszcze jedna bezradna istota, pozbawiona w tym lesie swojego naturalnego środowiska. - Myślisz, że zginie?

- Kto wie? Może tak, a może nie. Ale chodź i popatrz.

Ponownie rozchylił palce i kiedy zdobyła się na odwagę, by przyrzeć się ogromnemu owadowi, ćma błagalnie zatrzepotała skrzydełkami. Dana spojrzała na silne ręce trzymające owada i poczuła bolesny skurcz w sercu. Dotychczas nie poznała Nicka od tej strony. Znała jego arogancję, twardość, ale teraz miała do czynienia z czymś zupełnie innym - z delikatnością, niczym u kochanka.

- Czyż nie jest piękna? - szepnął.

- O, tak - odparła z zapartym tchem.

Bładokremowa biel skrzydełek ćmy poprzecinana była pastelowozielonymi żyłkami. Długi ogon ocierał się o nadgarstki Nicka.

- Dotknij jej.

Posłusznie, z największą delikatnością dotknęła główki ćmy.

- Och, Nick, ona jest jak aksamit.

Uniosła głowę i dostrzegła jego wzrok utkwiony w swoich ustach. Gwałtownie cofnęła rękę. Zszedł po schodach i z dala od świecy rozchylił dłonie. Cma pofrunęła. Po chwili Nick wrócił i stanął przyglądając się jej. Niezdolna odwzajemnić mu spojrzenia, bawiła się suknią, marszcząc i wygładzając jedwab.

- Masz płatki kwiatów zaplątane we włosach. Nie ruszaj się.

Poczuła, jak jego dłonie rozdzielają pasma jej włosów, po czym ujmują brodę i unoszą twarz ku górze, zmuszając, by spojrzała, mu w oczy.

- Dany? - szepnął ochryple, a kiedy lekko uśmiechnęła się do niego, ujął jej dłoń i podniósł do ust.

. Utkwiwszy w niej wzrok, począł całować wewnętrzną stronę jej dłoni, powoli, zmysłowo przesuając wargi po wilgotnej skórze. Przejmujący dreszcz, który przeszedł aż do ramienia, wstrząsnął każdym, najodleglejszym nawet nerwem jej ciała.

Kiedy oderwał usta od wnętrza jej dłoni, by obrysować wargami każdy palec z osobna, zamknęła oczy, chwiejąc się na nogach. Przesunął wreszcie usta wzdłuż jej kciuka, kęsając delikatnie i całując miękką poduszczkę u jego podstawy. Zagryzła wargi, na próżno usiłując powstrzymać jęk rozkoszy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy w końcu przestał, Dany, oszołomiona swoimi doznaniem, otworzyła oczy, oddychając z trudem. Obserwował ją pociemniałymi oczyma.

- Dany?

Gdy uśmiechnęła się delikatnie, położył ręce na jej ramionach i powoli przyciągnął do siebie. Wstrzymała oddech, a wtedy pochylił głowę i ciepłymi, pełnymi życia ustami przywarł do jej warg. Przestało istnieć wszystko dookoła oprócz dotyku jego ust: słodkich z lekkim posmakiem soli i wina.

Czubkiem języka obrysował linię jej ust, najpierw górną, potem dolną wargę. Ta pełna erotyzmu pieszczota sprawiła, że Dany przywarła do niego z całej siły, przesuając rozpostartymi palcami dłoni po jego plecach i zaciskając je na koszuli.

Przesunął rękę w dół jej pleców i chwycił ją w pasie, dotykając palcami szczytów jej pośladków. Przycisnął ją do siebie mocno, tak że czuła gwałtowne pożądanie palące jego ciało. Podczas gdy jego język docierał do najtajniejszych zakamarków wnętrza jej ust, sycąc się ich słodyczą, druga ręka zsunęła się po nagim ramieniu, i zacisnęła na pełnej piersi. Poprzez cieniutki jedwab czuła ciepłą wilgoć jego dłoni i szalone trzepotanie własnego serca.

Począł pieścić kciukiem jej sutek, który momentalnie obrzmiał i naprężył się. Całe jej jestestwo zamknęło się w tym napiętym pączusku rozkoszy, poza którym zdawało się już nic nie istnieć.

Wtem niebo rozdarła błyskawica, przez moment rzucając na wszystko dookoła oślepiająco biały blask.

Nad ich głowami rozległ się huk grzmotu wstrząsający całą ziemią. Wydarci z własnego świata, odskoczyć od siebie, wciąż się jednak trzymając i intensywnie wpatrując nawzajem w swoje twarze.

Po tak silnym błysku, ciemność stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona, lecz przy blasku świecy Dany zdołała dojrzeć wyraz twarzy Nicka, jego prawie czarne oczy i rumieniec pożądania na policzkach.

O, Boże, co ona robi?! Gdy usiłował z powrotem wziąć ją w ramiona, odepchnęła go.

- Nie, nie, nie! - wybuchnęła dziko i wyslizgnąwszy się z jego rąk, drżącymi dłońmi podciągnęła do góry stanik sukni. - Nie dotykaj mnie!

- Nie dotykać cię? - Wydał szyderczo wąskie wargi i najwyraźniej odzyskawszy pełną kontrolę nad sobą, wsunął kciuki za pasek dżinsów i oparł się o framugę drzwi. - Kiedy sama prosisz się o to, i o wiele więcej, przez cały wieczór?

Błada jak płótno, ogarnięta zarówno gniewem, jak i pogardą dla samej siebie, Dany cofnęła się o krok.

- Nie, nie, to nieprawda. Ty...

- Daj spokój, panienko. - Wydawał się znudzony całym zajściem. - Więc czemu, do diabła, włożyłaś tę suknię, jeśli nie po to, by w ten żalosny sposób spróbować mnie uwieść? - Prześlizgnął po jej szczupłym ciele wzrokiem tak pełnym pogardy, że skuliła się i cofnęła jeszcze o krok.

Czy to prawda? Czy w głębi serca dlatego właśnie założyła tę piękną... seksowną suknię? Nie tylko po to, by udławił się swoimi słowami o mini-Tarzanie, ale z powodu daleko mniej niewinnego. Niezależnie od tego, gdzie leżała prawda, pozwoliła mu się upokorzyć. Miała ochotę zwinąć się u jego stóp, zatopić twarz w dłoniach i wybuchnąć nieopanowanym szlochem, ale przywołała na pomoc wewnętrzne rezerwy dumy.

- Uwieść cię? - odparła lodowato, odgarniając do tyłu potargane włosy. - Nie chciałabym się z tobą kochać, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.



- Tak, oczywiście. Jakoś późno przypomniałaś sobie, że masz narzeczonego.

Dany wzdygnęła się gwałtownie. Nie myślała o Marcusie od wielu godzin. Nick chwycił jej lewy nadgarstek i uniósł dłoń, zmuszając, by spojrzała na swój pierścionek zaręczynowy.

-Ja... - przerwała, a jej policzki zabarwił rumieniec winy.

- Powiem ci jeszcze jedną rzecz, maleńka. - Ostry, zgrzytliwy ton głosu zmienił czułe słówko w niemalże obelgę. - Z tego, co słyszałem do tej pory o Średnio-wiecznym Marcusie, byłoby ci o niebo lepiej w moich ramionach.

Zanim zdążyła się wyrwać, puścił jej rękę, która opadła bezwiednie, i przesunął wierzchem dłoni po piersiach. Był to lekki dotyk, który zaledwie delikatnie musnął ciało poprzez cienki jedwab. Mimo to, nie odważywszy się nawet spojrzeć w dół, Dany poczuła, że jej sutki momentalnie stwardniały i wiedziała, że on również to zauważył.

Przez ułamek sekundy, pomimo wstydu i udręczenia, ujrzała siebie leżącą w ramionach Nicka, zaspokojoną miłością, z ciałem i umysłem przesyconym nim, jego smakiem i dotykiem, i poczuła, jak znów powoli rośnie w niej pożądanie.

- Och, nie wątpię w to - odezwała się oschle, by bezlitośnie zmiążdżyć nienawistny obraz. Po krótkiej przerwie kontynuowała, z największą precyzją dobierając słowa. - Mówi się przecież, że miłość jest sztuką, czyż nie tak?

- Słyszałem to powiedzenie. - Wzruszył ramionami.

- Masz o wiele więcej doświadczenia niż Marcus, prawda, Nick? I z pewnością więcej niż ja. Jednak pomimo, że jestem zupełnie niedoświadczona, co niechybnie sprawia, że tym bardziej mną pogardzasz, wiem już coś, czego ty nigdy nie pojmiesz.

- Naprawdę? Oświeć mnie więc.

- Seks, pożądanie... same w sobie są nic nie warte. Tak naprawdę liczy się miłość, czułość, przywiązanie.

- Patrzył na nią lodowatym wzrokiem, a ona ciągnęła z uporem. - W twoim słowniku to są tylko nic nie znaczące słowa, nieprawdaż?

- Ależ z ciebie obłudna, mała hipokrytka. - Nawet jedna iskierka ludzkiego ciepła nie rozjaśniła jego zielonych oczu.

-Wcale nie, ja...

- Miłość, czułość i przywiązanie. Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Przede wszystkim kocham Marcusa, więc...

- Poprawka: myślisz, że go kochasz.

- Nie sądzę. Wiem, że kocham Marcusa! - krzyknęła gniewnie, niemalże szlochając z chęci przekonania go o tym. - Bardzo głęboko.

- Nie, to nieprawda i ja ci powiem, dlaczego Z tego, co kiedykolwiek o nim powiedziałaś, widać, że nie odczuwaś w stosunku do niego nawet tyle - pogardliwie pstryknął palcami - seksualnego pożądania. Nie, - zaprotestował, gdy chciała mu przerwać - ty mi powiedziałaś, co jest ze mną nie w porządku, więc teraz wysłuchasz tego, co jest nie w porządku z tobą. I słuchaj dobrze: Gdybyś naprawdę kochała tego mężczyznę, pożądanie, które byś odczuwała, byłoby integralną częścią tej miłości. Rozdzielenie tych dwóch rzeczy znaczyłoby tyle co rozpłatanie twojego własnego ciała.

- Kocham go! - broniła się rozpaczliwie, lecz Nick, potrząsając głową, chwycił ją za ramiona, wbijając palce w jej ciało.

- Nie. Jesteś nie tknięta, zupełnie nie rozbudzona.

- Uśmiechnął się ironicznie. - Może właśnie chciałem to zrobić dzisiejszej nocy.

- To znaczy uwieść mnie? - Bezwładnie tkwiła w jego ramionach, mimo to usilnie starając się utrzymać w ofensywie.

- Uwieść cię? Nie. Nieśmiałe, zupełnie niedoświadczone, młode dziewice przestały mnie już pociągać.

- Z zimnym okrucieństwem i premedytacją zdzierają z niej skórę. - Jednak wyczuwam, że w tobie jest coś, ukryta zmysłowość, którą jakiś mężczyzna powinien wydobyć, zanim będzie za późno.

- Kiedy się pobierzemy, Marcus...

- Kiedy się pobierzemy. - Jego wargi wygięły się w zimnym uśmiechu. - Kiedy się pobierzecie, droga Dany, zostaniesz uwięziona w pustej, sterylnej klatce. Ale nie martw się, nie będziesz sobie z tego zdawała sprawy, ponieważ do tej pory sama zostaniesz ukształtowana na równie pustą i sterylną istotę. - Lekko odepchnął ją i podniósłszy świecę, utkwiał błędzący wzrok w migoczącym płomieniu. - Pamiętaj, kochanie, ci, którzy bawią się ogniem, bardzo często zostają poparzeni. - Wyciągnął świecę w jej kierunku i powiedział rozkazująco: - Idź do łóżka!

Uniosła spódnicę, potykając się przeszła obok niego i udała się do sypialni. Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Całym jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Zanim ugięły się pod nią nogi, zdołała jeszcze podejść chwiejnie do łóżka i opaść na nie, z oczyma niewidzącymi, choć otwartymi szeroko.

Czy miał rację? Czyżby nie kochała Marcusa? Podniosła drżącą dłoń do ust, przeciągając palcami po miękkich, pełnych wargach, tak jak on to zrobił. Wciąż czując jego dotyk na skórze, gniewnie potarła usta wierzchem dłoni, by go zetrzeć. Wtem skrzywiła się, gdy pierścionek, pierścionek od Marcusa, zadrapał jej delikatną skórę.

Wąski krąg światła rzucanego przez płomień świecy rozświetla suknię, zmieniając delikatny bursztyn w cudownie błyszczące złoto. Czemu? Czemu to zrobiła? Gdyby jej nie założyła, nic by się nie wydarzyło. Usiedliby na werandzie, Nick udzieliłby jej kolejnej lekcji szachów... Nie był wprawdzie najcierpliwszym nauczycielem, ale uwielbiała przeżywać z nim ten intymny nastrój. A teraz, przez swoją własną głupotę, raz na zawsze zniszczyła tę kruchą więź pomiędzy nimi.

Czemu nie domyśliła się, że dla seksualnie rozbudzonego samca, jakim był Nick Devlin, kobieta w takim stroju będzie stanowiła pokusę nie do odparcia?

Ale czy rzeczywiście była to kwestia jej naiwności?

Skoczywszy na równe nogi, poczęła szarpać guziki sukni jak oszalała, by jak najprędzej zrzucić ją z siebie. Gdy jedwab opadł wokół jej kostek, usłyszała delikatny dźwięk i odwróciwszy się, zobaczyła Nicka stojącego w drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Pomimo tego, że jego twarz pozbawiona była wyrazu, a oczy przymknięte, Dany, prawie naga, poczuła jego palące spojrzenie.

Ze zduszonym okrzykiem chwyciła z łóżka swoją koszulę i przycisnęła do siebie, podczas kiedy on wyprostował się i podszedł do niej niespiesznie, z wdziękiem leśnego kota.

- Nie bój się - zamruczał. - Niezależnie od tego, jak bardzo zrani to twoją próżność, całkowicie potrafię zapanować nad sobą. Poza tym, już ci mówiłem, po prostu nie jesteś w moim typie.

- W takim razie jesteście kwita.

- Jednak na wszelki wypadek przyszedłem ci powiedzieć, że nie musisz leżeć i drzeć ze strachu... lub oczekiwania. Będę spał gdzie indziej. Dobranoc... i śpij dobrze.

- Z pewnością będę spała tak samo dobrze jak ty.

Cichy, pełen niedowierzania śmiech wzbudził w niej jeszcze większą złość. Chwyciła tenisówkę i cisnęła nią w drzwi, ale on zdążył je już za sobą zamknąć.

Przycisnęła mocno rękę do ust, by powstrzymać płacz, a kiedy płomyk świecy zadrżał i zanikł w mikroskopijnej kałuży gorącej stearyny, odrzuciła koszulę i wślizgnęła się pod koc, naciągając go na głowę, tak jak to zwykła była czynić, kiedy jako dziecko chciała odseparować się od całego świata.

Wszystko nadal było tak, jak gdyby ich pobyt na hacjendzie nigdy nie miał miejsca. Nick znowu kroczył

daleko przed nią, od czasu do czasu zwalniając tylko po to, by poprawić plecak. Nawet wtedy nie odwracał się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie została pochwycona przez jakiegoś boa dusiciela...

Oczywiście nie była w najmniejszym stopniu zdziwiona, kiedy po bezsennej nocy weszła z wahaniem do kuchni i ujrzała Nicka gotowego do drogi z zapakowanym plecakiem na stole. Nie zadał sobie nawet trudu, by powiedzieć: „Wyruszamy dzień wcześniej”, tylko: „Wystarczy nam teraz tylko jeden pakunek, więc jeśli podasz mi tamten koc, upchnę go tutaj”, po czym z ponurą sprawnością kontynuował przerwane zajęcie. Ogarnęła ją fala prawdziwej ulgi...

Teraz jednak, późnym popołudniem, pomimo tego, że nie niosła nic poza swoją torebką, ramiona Dany pochyliły się pod ciężarem dużo większym niż jej poprzedni pakunek - pod wstydem i pogardą dla samej siebie. Jak mogła w ten sposób postąpić - poniżyć się przed takim mężczyzną jak on? Przystanąła na moment, ocierając wierzchem dłoni czoło, przysłonięte lepiącą się, \*przesiakniętą potem grzywką, i spoglądając na posępne plecy, bezlitośnie posuwające się naprzód.

Czy to wino sprawiło, że postąpiła tak... cóż, zupełnie nie jak Dany Trent? To był jedyny sposób, by opisać jej zachowanie. A może to wybujała zmysłowość tropikalnej nocy tak wpłynęła na nią? No już, pomyślała z wściekłością, daj spokój z tym patetycznym usprawiedliwianiem się. Pragnęłaś go, wręcz trzęśtaś się z pożądania.

Naturalnie, miał rację. Przynajmniej jakaś część siebie wiedziała, co robi, zakładając tę suknię. Podobnie jak ćma księżycowa, została przyciągnięta do płomienia. Taki mężczyzna jak Nick Devlin nie musiał nawet nic robić - kobiety same wpadały do ognia, gdzie, trzepoczące, czekała je zagłada.

Jednak to wszystko wydarzyło się ostatniej nocy, a teraz, dzięki Bogu, zostało jeszcze tylko parę godzin marszu i już nigdy, przenigdy nie skopromituje się tak

przed żadnym mężczyzną. Nick dał jej prawdziwą nauzkę.

Przed nimi teren wznosił się ostro. Nick torował drogę wzdłuż wąskiego wąwozu pomiędzy dwoma skalistymi zboczami wzgórz. Od wczesnego ranka podążali z biegiem strumienia, lecz teraz wzniesli się wyżej. Dany przez swój chrapliwy oddech słyszała jedynie jego szmer. Niebo było metalicznie szare, a tuż przed nimi złowieszczo wyglądająca chmura koloru przejrzalej śliwki damaszkii zawisała ponad lasem. Poprzedniej nocy, pomimo rozsadzających czaszkę grzmotów, burza przeszła gdzieś obok. Teraz powietrze było jeszcze cięższe, zwiastowało zagrożenie. W niemłosiernym upale ubranie kleiło się do ciała. Gdyby tylko zaczęło padać.

Wtem, zupełnie niespodziewanie, zaczęło się. Poczuła na twarzy lekki podmuch wiatru i już w następnej chwili niebo się rozstało - ulewny deszcz w przeciągu paru sekund przemoczył ją do suchej nitki.

Podczas gdy stała oszołomiona prędkością i siłą ulewy, Nick zawrócił, ślizgając się na mokrych skałach. Jego czarne włosy przylepiły się do głowy, a po twarzy spływały strugi wody. Chwyciwszy jej ramię, potrząsnął nią gwałtownie.

- Na litość boską, nie stój tak i nie podziwiaj scenerii! - Zaczął siłą wciągać ją na wzgórze.

- Jak daleko jeszcze?

- Do granicy? Sądzę, że około dwóch godzin. Rozchmurz się, mówiłem ci przecież, że cię tam doprowadzę, prawda?

Po raz pierwszy tego dnia spojrzął na nią przyjaźnie, a ona ze ściśniętym żołądkiem pomyślała, że nie chce, by minęły te dwie godziny, nie chce dotrzeć do granicy. Chce zostać z nim na zawsze.

Kiedy tak pograżała się w czarnej rozpacz, ponad nimi, na wzgórzach rozległ się huk. Nick znieruchomiał, a kiedy powędrowała za jego wzrokiem, zobaczyła stertę ogromnych kamieni, niebezpiecznie zawieszonych nad

nimi w powietrzu. Przez moment zamaryły w bezruchu, po czym bardzo wolno - przynajmniej tak wydawało się przerażonej Dany - przewaliły się przez krawędź wzgórza i runęły w dół, błyskawicznie nabierając przyspieszenia. Czubki wysokich drzew zachybotwały się, a po chwili zniknęły, połamane niczym zapałki.

Nick spoglądał w górę sekundę dłużej. Chwycił ją wpół, zeskoczył ze szlaku na skos i począł posuwać się w poprzek zbocza. Czerwona fala błota i kamieni wylała się spomiędzy drzew niczym lawa, unicestwiając wszystko na swojej drodze. Zdażył jeszcze popchnąć Dany, zanim dosięgła ich fala. Potykali się i ślizgali, a płynący szlam wirował niebezpiecznie wokół ich kolan, sięgając aż do ud.

Gdyby choć raz stracili równowagę... Nick powoli, wciąż przyciskając ją do siebie, przedostał się do ogromnego drzewa kampszowego. Jednym ramieniem objął jego pień, a drugim przygarnął Dany do siebie i osłonił własnym ciałem. Czuła wstrząsające nim spazmy, gdy ciężko falującą piersią chwycił oddech. Drzewo trzeszczało i jęczało, gdy jego korzenie walczyły o życie. Kiedy dźwięki powoli przycichły, otworzyła oczy i ujrzała ohydną czerwoną pręgę ciągnącą się w poprzek wzgórza niczym żywe Ciało, tam gdzie jeszcze chwilę temu znajdował się zielony las.

Wtem, dokładnie nad ich głowami rozległ się kolejny przerażający huk.

- Cholera! Kolejne obsunięcie. Wynośmy się stąd! - wrzasnął Nick. Rozglądał się, usiłując przebić wzrokiem szarą ścianę deszczu. - Tam! - odetchnął. - Wygląda jak jaskinia.

Kiedy skierowała wzrok w stronę, którą wskazywał palcem, ujrzała na lewo od nich czarną szczelinę.

Huk stawał się coraz głośniejszy, a dudnienie kamieni przypominało trzęsienie ziemi. Kiedy Nick holował ją przez otwarty teren, ziemia drżała im pod stopami. Dotarli do wylotu jaskini w chwili, kiedy ich oczom ukazało się kolejne obsunięcie ziemi. Dany

zwolniła na moment i odwróciwszy głowę, ujrzała, jak drzewo, które ich ocaliło, trzaska i spada w dół zбочa niczym złamana zapałka.

- Najdroższa moja. - Uścisk Nicka jeszcze bardziej przybrał na sile. - Nie patrz tak. Wszystko w porządku, żyjemy!

Odwrócił ją gwałtownie ku sobie i przez ułamek sekundy odpowiadający jednemu uderzeniu serca wpatrywali się w swoje umazane błotem twarze. Wydawało się, jak gdyby naładowane elektrycznością powietrze wokół nich iskrzyło się i trzaskało, podczas kiedy napięcie, nie tylko spowodowane ostatnimi przerażającymi minutami, ale i to, które powoli, bardzo powoli narastało pomiędzy nimi od czasu pamiętnej pierwszej nocy w lesie, osiągnęło punkt kulminacyjny. Wówczas proch zapalił się i wybuchł szaleńczą namiętnością.

Nie było miejsca na czułość. Niepomni niczego, nie pragnęli jej, ani też nie byli w stanie jej okazać. Dłonie wyciągnęły się na oślep, by pochwycić dłonie, po czym rozerwały się w poszukiwaniu delikatnego, uległego ciała pod warstwą ociekającego, oblepionego błotem ubrania. Erotyczny szok spowodowany ocieraniem się skóry o skórę, ust o usta, szyję, ramiona sprawił, że z głębi gardła Dany wydobył się cichy jęk. Przywarłszy do siebie, opadli na kolana, po czym osunęli się na piaszczystą ziemię.

Nick przygwoździł ją swoim napiętym niczym struna łuku ciałem. Gdy instynktownie wygięła biodra, wszedł w nią gwałtownie, tak jak gdyby trzymał swe żądze na wodzy tak długo, że jakiegokolwiek ograniczenia przekraczały teraz jego możliwości. Kiedy przeszyła ją siła jego pożądania, z jej ust wyrwał się cichy okrzyk, który Nick stłumił pocałunkiem.

Ruch połączonych ze sobą, mokrych po deszczu ciał wyznaczał odwieczny rytm, który narastał w nich obydwojgu w przekraczającym granice wytrzymałości *crescendo*, dopóki poprzez grzmot własnego serca Dany nie posłyszała chrapliwego krzyku Nicka. Poczwała,



jak całe jego ciało napina się, a potem jednym zdecydowanym pchnięciem rozbił ich obydwój na drobniutkie cząsteczki, które poczęły wirować wokół jaskini, po lesie, a wreszcie wtopiły się w ruch czarnej otchłani wszechświata.

scandalous

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Całe wieki później Dany poczuła, jak Nick wysuwa się z jej ramion. Gdy mruczając próbowała zatrzymać go blisko siebie, uciszył jej protesty palcem przytkniętym do ust i szepnął:

- Zmarzłaś. Widzę tu trochę suchego drewna. Rozpalę ognisko.

Leżała z półprzymkniętymi oczyma, wsłuchując się w szmer padającego na zewnątrz deszczu i w odgłosy krzątania Nicka, po czym, oparłszy się na łokciu, zaczęła go obserwować. Wcisnął swoją latarkę w szczelinę w skalistej ścianie i przykucnął przy niewielkiej stercie gałęzi. Spostrzegłszy, że mu się przygląda, uśmiechnął się błyskając w półmroku białą zębów.

- Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia przyda mi się przeszkolenie w skautach. Jedną z niewielu rzeczy, które pamiętam, jest to, jak rozpalić ogień za pomocą paru gałązek.

Patrzyła, jak wąska smużka dymu unosi się nad stosikiem drewna, następnie ujrzała iskrę, a wreszcie mały, żółty płomień, z początku drgający nieśmiało, potem budzący się do życia w miarę obejmowania pozostałych gałęzi.

- Skąd wzięłeś to drewno?

- Tam z tyłu jest wielki stos. Coś mi się wydaje, że nie my pierwsi użyliśmy tego miejsca jako schronienia.

- Wyciągnął do niej rękę. - Podejdź tutaj.

Kiedy usiadła obok niego, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Twoje ubranie jest przemoczone do suchej nitki. Rozbierz się i wysusz je przy ogniu.

Rozebrała się do naga. Pozostawiła tylko złoty łańcuch na szyi. Nie odczuwała jednak wstydu - ten okres dawno już minął. Wspólna walka i trudy, jakie dzielili, zdawały się zbliżyć ich do siebie tak bardzo, że potrzebowali tylko tej jednej rzeczy, by stworzyć prawdziwą całość.

Nick również zdjął koszulkę. W dalszym ciągu obejmując Dany ramieniem, otworzył plecak i wyjął z niego koc. Delikatnie osuszył i owinał nim tulącą się do niego dziewczynę.

- Teraz lepiej?

- Mmm. - Delikatnie przesunęła opuszkami palców po jego wargach, a on chwyciwszy jej dłoń, czule ją ucałował.

- Moja słodka, czy zadałem ci duży ból? - spytał niezupełnie opanowanym głosem.

- Ależ nie, wcale. Przyrzekam. - Spostrzegłszy ponury wyraz jego oczu, dokończyła z drżącym uśmiechem.

- Miałaś rację. To... to jest cudowne.

- Och, moja... - Zacisnął palce na jej dłoni i prze-rwał, by dodać po chwili: - Jesteś głodna? Zostało jeszcze parę puszek.

- Nie, nie jestem - odparła miękko. - Och, Nick, spójrz!

Rozejrzała się wokół. Drewno zajęło się już ogniem, a kiedy płomienie buchały w górę, ściany jaskini roziskrzyły się czerwonożółtym blaskiem, jak gdyby same zapłonęły.

Nick wstał, podszedł do najbliższej ściany i zarysowawszy ją paznokciem, odwrócił się do Dany z błyszczącymi oczyma.

- Chodź i zobacz.

Gdy stanęła obok, upuścił jej na dłoń małe kawałeczki żółtego metalu. Obróciła go w palcach z niedowierzaniem.

- Czy to złoto?

- Obawiam się, że nie. To minerał zwany pirytem. Ludzie zwą go złotem głupców. Pewnie dlatego, że nie tak łatwo odróżnić go od prawdziwego złota.

Wyciągnął rękę i przesunął palcami po złotym łańcuchu, na moment zatrzymując dłoń na małej głowie jaguara spoczywającej w zagłębieniu pomiędzy jej piersiami.

- Wiesz, Dany, w tym świetle twoje włosy migoczą, przeistaczając się ze złota w płonący ogień i na powrót. Są niczym piękna, żywa istota. - Uniósł na palcu parę pasem, po czym pozwolił im ponownie opaść na jej ramię. - A twoje oczy... - Obrócił jej twarz ku sobie i po raz pierwszy nie było w jego głosie ironii ani cynizmu, jedynie ogromna czułość, która spowodowała silny ucisk w jej piersi. - ... One także zmieniają kolor. Obserwowałem je. - Zdawało się, że mówi do samego siebie. - I widziałem, jak ciemniejąc stają się brązowe, potem znów złote, w zależności od zmiany twego nastroju... lub kiedy cię całuję.

Pochyliwszy głowę, chwycił zębami jej pełną dolną wargę i począł pieścić ją czubkiem języka. Z jej gardła wydarł się chrapliwy krzyk, wyciągnęła na oślep ręce i chwyciła go kurczowo, wbijając paznokcie w jego ciało.

Wziął ją w ramiona i zaniósł z powrotem do buchającego płomieniem ogniska. Zsunąwszy z niej koc, rozpostarł go na piaszczystej ziemi i ostrożnie ją położył. Wyciągnąwszy się obok, począł delikatnie gładzić jej ciało, co błyskawicznie pobudziło do życia jej piersi. Ujawszy w dłonie biodra, zatopił twarz w jej brzuchu, obrysowując językiem maleńkie zagłębienie pępka.

- Pozwól mi cię rozebrać - wyszeptła niewyraźnie Dany, dla której mówienie, a nawet zebranie myśli stanowiło ogromny wysiłek w momencie, kiedy dłonie i język Nicka doprowadzały ją do granic szaleńczej, ślepej namiętności.

Puścił ją i obrócił się na plecy.

- Jestem do twojej dyspozycji.

Nie uczynił absolutnie nic, by jej pomóc, kiedy z rozsypanymi wokół twarzy włosami ściągnęła najpierw skórzane buty, potem rozpięła pas podtrzymujący dzinsy

i suwak. Powoli, w skupieniu marszcząc czoło, ściągnęła mu spodnie, obnażając długie, muskularne nogi. Sięgnawszy ręką do czarnych slipów, zawahała się.

Obserwował ją z leciutkim błyskiem rozbawienia w cudownych zielonych oczach.

W odpowiedzi na ten tajemniczy uśmiech, pozbyła się do reszty skrępowania, chwyciła wąski pasek jedwabiu i szarpnęła w dół.

- Widzisz, jak na mnie działasz?

Głos Nicka bynajmniej nie brzmiał tak oschle i bezceremonialnie, jak by sobie tego życzył. Dany wyczuła pulsujące w nim pożądanie. Strząsnęła włosy na twarz, by ukryć rumieniec. Roześmiał się cicho i położył ją obok siebie, kładąc dłoń na kuszącym wygięciu jej biodra.

W żywym świetle płomienia ich ciała - jej bladokremowe, jego opalone na brąz - przeistoczyły się w ogień migoczący czerwienią i złotem. Głaskał ją delikatnie, wywołując elektryzujący dreszcz, który pochynając od czubków palców ogarnął ją całą.

- Jesteś tak ciepła\* słodka i miękka - zamruczał ochryple - że chciałbym wniknąć w to ciepło, na zawsze się w nim zatopić.

Wziął do ust najpierw jeden, a potem drugi napięty, różowy sutek, smakując je i delektując się nimi, jak gdyby były jakimś nowym, nieznanym przysmakiem. Jęknęła głośno i zacisnęwszy kurczowo palce na jego grubych, czarnych włosach, z całej siły przycisnęła jego usta do swoich.

Ogarnęła ją ciężka fala gorąca. Zamknęła oczy, ale ciemność jedynie zintensyfikowała podniecający zapach potu i ciężką woń piżma, które osiadły na jej skórze, a które były Nickiem Devlinem.

Kiedy będę już stara, pomyślała z bólem, wciąż będę potrafiła zamknąć oczy i wciągnąć w nozdrza cudowny zapach męczyzny, którego nie widziałam przez pięćdziesiąt lat...

Jednakże kiedy jego spragnione usta błędziły coraz niżej i niżej po jej płaskim brzuchu, zapomniała o wszy-

stkim poza chwilą obecną i coraz gwałtowniejszymi emocjami, które w niej rozniecał. Jego palce pieściły wilgotny aksamit wewnętrznej strony jej ud, a kiedy odnalazły małe, pulsujące źródło rozkoszy, z jej gardła wydarł się okrzyk.

Usiłowała się uwolnić, lecz on trzymał ją mocno. Wiła się więc bezradnie, podczas kiedy on rozniecał w niej coraz gorętsze płomienie, doprowadzając wreszcie do wirującego zawrotnie szczytu rozkoszy, po czym ponownie wyciągnął z otchłani.

- Nick. - Udało jej się wydobyć z siebie tylko to jedno słowo.

- Hmm?

- Ja również chciałabym cię zadowolić - wyszeptła.

- Naucz mnie... wszystkiego.

Poczuła, że Nick się uśmiecha.

- Może niezupełnie wszystkiego, przynajmniej nie dzisiejszej nocy. Chociaż muszę przyznać... - uniósłszy głowę, spojrzał na nią błyszczącymi w blasku ognia jadeitowymi oczyma - że w tej grze wydajesz się zdolniejszą uczennicą niż przy szachach. Och, nie, Dany - dodał, gdy jej twarz pokrył głęboki rumieniec - nigdy nie wstydz się swojej zmysłowości. Ciesz się nią.  
- Zdmuchnął jej z policzka pasemko poplątanych włosów. - Już się taka urodziłaś... pełna seksu.

Ale jestem taka tylko przy tobie, pomyślała nagle. Jesteś jedynym mężczyzną, który potrafił to we mnie obudzić - i nikt poza tobą nie będzie w stanie mnie zaspokoić.

- Naucz mnie więc - powtórzyła, z trudem starając się nie okazać żalu w głosie. - Czy to ci się podoba?

Bardzo delikatnie pogładziła opuszkami palców jego pierś, rozkoszując się aksamitną gładkością skóry, po czym musnęła małe męskie sutki, czując jak błyskawicznie twardnieją.

- A to?

Przesunęła rozpostartą dłoń w dół, po jego brzuchu, pod palcami wyczuwając ostrą krawędź mostka,

a poniżej pulsującą tętnicę. Wreszcie jej dłoń dotarła do miękkiej, ciemnej kępki włosów.

- Wystarczy jak na pierwszą lekcję ^ wymamrotał ochryple i obróciwszy ją na plecy, kolanem rozwarł jej nogi. Przyciągnęła go do siebie, a on tym razem wszedł w nią niezwykle powoli, tak łagodnie rozchylając delikatne płatki, że Dany niemalże omdlała. Całe jej ciało przeszył erotyczny dreszcz.

Kiedy począł wykonywać prawie niedostrzegalne ruchy, wyprężyła się w niemym krzyku, a on, jak gdyby oczekując jej zgody, wygiął ciało i wchodził w nią coraz głębiej i głębiej. Tańczące wokół nich płomienie przeistoczyły jaskinię w płamę stopionego ognia. Pokryta rumieńcem, drżąca istota w płonącym kręgu, którą była Dany Trent - mięśnie, ścięgna, kości, ciało - powoli topiła się jak stearyna, kropla po kropli w ogniu jego pożądania, dopóki całe jej jestestwo nie zamieniło się w gęstą, rozpaloną do białości ciecz.

Odchylił się do tyłu i ze ściągniętą twarzą spojrzął na nią zielonymi oczyma jaguara, który za chwilę pożre swoją ofiarę, po czym zatracił się w ogniu, który strawił ich oboje. Kiedy pochłaniały ją płomienie, Dany poczuła, jak jej łono zaciska się i kurczy niczym pięść... Potem leżała pod nim bezwładna i bezkształtna...

Kilkakrotnie tej krótkiej nocy budziła się, gdy Nick dokładał drewna do ognia. Za każdym razem, kiedy odwracała się do niego, protestując cicho, przygarniał ją do siebie, a jego nogi i dłonie błądziły po jej ciele i odkrywały je na nowo w niestrudzonym słodkim poszukiwaniu...

Kiedy Dany się przebudziła, cytrynowe światło wczesnego poranka sączyło się przez wejście do jaskini. Przeciągnęła się leniwie niczym kotka, a kiedy cudowna tęsknota przeszła jej ciało, odwróciła się, lecz miejsce obok było puste.

Ogień wygasł -jedynie parę cienkich smużek dymu unosiło się nad szarym popiołem. Nick, całkowicie

ubrany, przykucnął obok, tyłem do niej i grzebał patykami w popiele.

- Cześć - powiedziała cicho.

- Cześć. - Przerwał swoje zajęcie i na chwilę odwrócił głowę. Wydawał się jednak nie dostrzegać jej drżącego uśmiechu. - Jeżeli chcesz zjeść coś ciepłego - odezwał się szorstko - to prawdopodobnie uda mi się to rozpalic ponownie.

Całkowicie zdezorientowana, Dany wpatrywała się w jego plecy przez parę sekund, po czym odezwała się głosem, który zdawał się zupełnie do niej nie należeć.

- Nie, nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

- Dobra, w takim razie ubieraj się i wynosimy się stąd. - Wściekle dźgnał żarzące się drewno, tak że rozsypało się, tworząc martwą kupkę popiołu i zerwał się na równe nogi.

Dany patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a kiedy piekące łyzy zamazały obraz, z trudem wstała i sięgnęła po ubranie. Spodnie i koszula były sztywne od błota, lecz wciągając je nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Następnie wsunęła stopy w lepiące się tenisówki.

Spróbowała jeszcze raz. Kiedy przechodził obok niej, kierując się do wylotu jaskini, położyła mu rękę na ramieniu.

-Nick.

Spoglądał przez chwilę na jej dłoń, jak gdyby należała do jakiegoś nieznanego stworu, po czym strząsnął ją, wskazując na pakunek.

- To mnie już nie interesuje. Na nic się nie przyda teraz, kiedy jesteśmy tak blisko granicy. Dotarlibyśmy do niej wczoraj, gdyby nie ten deszcz.

Miała ochotę wpełznąć w jakąś ciemną dziurę i umrzeć.

- Tak, oczywiście - powiedziała automatycznie, podczas gdy żarzący się ból przepalał jej umysł niczym płomień namiętności zeszłej nocy. - Och, mimo to, zabiorę koc.



Zmarszczył brwi, lecz ona zdażyła już uklęknąć. Niezdarnie zwinęła koc, którego jaskrawy wzór zamażywał się i zlewał jej przed oczami, po czym powoli się wyprostowała.

- Daj mi to. - Wyciągnął rękę.

- Nie! - Rozpaczliwie przycisnęła koc do siebie. Wkrótce pozostanie on jedyną rzeczą przypominającą o ich wspólnie spędzonej nocy. - Nie - powtórzyła głośniej. - Ja to poniosę.

- Jak sobie życzysz - odparł lakonicznie i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z jaskini.

Słońce właśnie wyłoniło się sponad drzew i przeгнаło z doliny resztki nocnej mgły. Zbocze wzgórza przecinała czerwona pręga powstała w wyniku wczorajszego obsunięcia ziemi, lecz wkrótce wchłonie ją las i nic już nie będzie przypominało ich wspólnej nocy.

Nick wspinał się pośpiesznie w górę wąwozu, z opuszczoną głową i rękoma w kieszeniach. Jego kanciaste, nieprzyjazne plecy zdawały się ją odpychać. „Jestem samotnikiem... samotnikiem”. Te zimne słowa wciąż rozbrzmiewały w jej głowie. Uprzedzał ją, więc mogła winić jedynie samą siebie za to, że gdzieś w głębi serca miała nadzieję, iż mogłaby zostać wyjątkiem. Mężczyzna taki jak Nick nie pozwala na żadne odstępstwa od ustalonych przez siebie reguł. Powinnaś to wiedzieć, ty idiotko, pomyślała z rozpaczą.

Jednak ostatniej nocy wydawał się taki czuły, taki... kochający.

Tak, ale przecież wiedziałaś, że na tym polega jego wypróbowana technika. O tym też ci powiedział. „Staram się zadowolić je wszystkie i pozostawić szczęśliwymi. Jednakże «zostawi» jest tutaj słowem-kłuczem. Jeszcze nigdy do tej pory nie spotkałem kobiety, dla której byłbym gotów poświęcić wolność, kiedy już wygaśnie namiętność”.

Daleko w przodzie Nick dotarł już do skalistego grzbietu i przystanąwszy, obejrzał się. Wyczuwając jego zniecierpliwienie, pomimo dzielącej ich odległości, za-

wahała się jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i w symbolicznym geście cisnęła koc w gardziel jaskini. Potykając się ruszyła w jego stronę.

Znów musiał na nią czekać, a kiedy wreszcie dogoniła go na szlaku, na który natrafili około godziny wcześniej, wyczuła w nim owo pragnienie, by jak najszybciej przedostać się przez granicę i raz na zawsze się od niej uwolnić. Wyrzucił patyk, którym ze świstem uderzał o udo.

- Wszystko w porządku?

Miała ochotę paść przed nim na ziemię i wałąc pięściami wyszlochać: „Oczywiście, że nie i ty dobrze o tym wiesz”.

Zamiast tego z jej odrętwiałych warg wydobyło się:

- Jak najbardziej, dziękuję. Teraz, kiedy jesteśmy już prawie na miejscu... - Uniósłszy wyżej głowę, pomaszerowała dalej szlakiem, nie oglądając się na niego.

Naturalnie mógł ją z łatwością dogonić, zważywszy, że szybko zwolniła tempo w prażącym upale. Po raz pierwszy jednak pozwolił jej iść przodem, co jeszcze bardziej spotęgowało tępy ból w jej piersiach. Nieświadoma niczego poza tym bólem i chrapliwym odgłosem wydawanym przez jej domagające się powietrza płuca, posępnie posuwała się naprzód. Wtem gwałtownie się zatrzymała.

Coś poruszyło się i zaszeleściło tuż przed nią, w małej kupce zeschniętych liści. Spojrzała w dół i koło swych stóp ujrziała małego węża w jaskrawe pomarańczowo-złoto-czarne pręgi.

Kiedy tak wpatrywała się w stworzonko, nie mogąc właściwie skoncentrować na nim myśli, usłyszała tuż za sobą cichy głos Nicka.

- Nie ruszaj się.

Zastygła w bezruchu, lecz w chwilę później, kiedy wąż uniósł nieco łebek w jej kierunku, potężne pchnięcie sprawiło, że poleciała w bok i ciężko upadła na

poszycie leśne obok szlaku. Rozległ się wściekły syk, który zmroził jej krew w żyłach, po czym nastała cisza.

Usiadła energicznie i rozejrzała się.

- Dziękuję ci za...

Jej głos zamarł. Wydała cichy okrzyk strachu na widok pobladłego pod opalenizną Nicka, opierającego się ciężko o drzewo. Zerwała się na nogi.

- Nick, co się stało? - Kiedy w odpowiedzi potrząsnął tylko głową, wybuchnęła z przerażeniem: - O mój Boże, chyba cię nie ukąsił?!

W dalszym ciągu nie odpowiadał. Chwyliła go za ramię i potrząsnęła.

- Co to było?

- Waż koralowy.

- Ale one nie są jadowite, prawda? - Gardło miała ściśnięte z przerażenia, tak że ledwo mówiła.

- Nie, prawie w ogóle. - Wypowiedział jednakże te słowa o wiele za szybko. - A poza tym ten był jeszcze młody. Mimo to, lepiej obejrzę ranę.

Zeslizgnąwszy się po pniu drzewa, usiadł na ziemi. Wyjął scyzoryk i zaczął przecinać nogawkę dzinsów.

- Och, Nick - rzekła z westchnieniem - gdybym nie poszła do przodu... To moja wina.

- Cóż w tym nowego? - Uśmiechnął się do niej blado. - Masz, dokończ.

Drżącymi palcami rozciąła sztywne płótno i ściągnęła nogawkę w dół. Tuż nad jego kolanem widniały dwa małe punkciki jak po ukłuciu igłą, a ciało wokół nich puchło, przybierając okropny sinoziemisty kolor.

Spoglądała przez chwilę na ranę, po czym, otrząsnąwszy się z ogarniającej ją paniki, wyprostowała się, ściągnęła przez głowę koszulę i oderwała od niej pas materiału. Pod baldachimem drzewa leżało parę gałązek. Wybrała jedną z nich, w miarę prostą, i wypróbowała jej wytrzymałość. Potem ukłękła przy Nicku, który siedział z zamkniętymi oczyma.

- Trzymaj to.

Gdy nie reagował, potrząsnęła go mocno za ramie i, założywszy mu na udo opaskę uciskającą, zaczęła owijać prowizoryczny bandaż tuż nad małymi złowieszczymi punkcikami.

- Proszę, co za siostra miłosierdzia.

Uśmiechnął się do niej, lecz ona z przerażeniem uświadomiła sobie, że jego głos zaczyna być bełkotliwy, tak jak gdyby był pijany. Zdołała jednakże odwzajemnić uśmiech i odrzekła lekko:

- Nie wiedziałeś o tym? Podczas kiedy ty bawiłeś się w skauta, ja zaliczałam u zuchów kurs pierwszej pomocy.

Ale Dany, przecież ukąszenie żmii to nie to samo co jadowitego środkowoamerykańskiego węża koralowego...

Odpędziwszy od siebie tę paralizującą myśl, poczęła wiązać bandaż.

- Wytrzymasz, jeśli jeszcze bardziej zacisnę?

- Hmm. - Skinął głową, a ona zaciskała końce bandaża, dopóki nie ujrzała grymasu na jego twarzy.

Materiał głęboko wpijał się w jego udo.

Nick spojrzął jej prosto w oczy.

- Musisz mnie tutaj zostawić i iść po pomoc.

- Zostawić cię? Nie bądź głupi - odparła szorstko.

Nie zdołam dotrzeć do ciebie z powrotem na czas...

Kiedy te straszne słowa drżały nie wypowiedziane na końcu języka, spojrzeli na siebie. Dany założyła swoją poszarpaną koszulę.

- Kiedyś powiedziałeś, że jeśli to będzie konieczne, przeniesiesz mnie przez granicę. Teraz, jeśli to będzie konieczne, ja przeniosę cię. Pomogę ci wstać.

Ująwszy go pod pachy, postawiła na nogi. Chwiał się nieco.

- Oprzyj się na mnie.

Kiedy zaprotestował, chwyciła jego rękę i położyła sobie na ramionach, a sama objęła go w pasie.

Poruszali się powoli, z trudem. Każdy krok, każde pięćdziesiąt metrów stanowiło ogromny wysiłek. Nick

był ciężki do holowania. Dany czuła, jak serce łomocze jej w piersi, a po ciele spływają strugi potu.

Spojrzała na niego z ukosa. Był popielato blady, oczy miał przymknięte. Pomyślała o jadzie sączącym się powoli przez jego żyły coraz bliżej i bliżej serca. Z trudem zapanowawszy nad przerażeniem, zmusiła się, by iść dalej...

Czas przestał istnieć. Jedyne ogromna siła woli trzymała go jeszcze na nogach - większość mężczyzn padłaby już dawno. Wtem, bardzo powoli zgiął się i wyslizgnął z jej rąk. Upadł na ziemię.

Dany rzuciła się na kolana, jak oszalała przyciskając do piersi jego głowę. Resztką krwi odpłynęła z jego pokrytej cienką warstwą potu twarzy. Poprzez lekko przymknięte powieki widziała piękne jaszczurcze oczy, z których uchodziło życie.

- Nick!

Kiedy nim potrząsnęła, mruknął coś zirytowany i przytulił policzek do jej piersi niczym śpiące dziecko. Wpatrywała się w niego, gryząc wargę, dopóki nie poczuła w ustach smaku krwi. Walczyła z potężną falą bólu, który rozrywał ją od środka, po czym potrząsnęła nim ponownie.

- Nie umieraj, do cholery! Nie pozwolę ci na to, słyszysz? Kocham cię!

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że to prawda. Kochała tego mężczyznę całą sobą, a teraz on umierał w jej ramionach.

Wstała i chwyciwszy go ponownie, zaczęła powoli, z mozołem wlec go wzdłuż ścieżki. Policz do stu, pomyślała, a będziesz już tam... i do dwustu... i do czterystu...

Ocknęła się, słysząc jakiś hałas. Podniosła wzrok i zamrugnęła powiekami, by usunąć z oczu pot. Spozstrzegła, że już jakiś czas temu z wąskiego szlaku wyszli na szeroką piaszczystą drogę. Hałas stawał się głośniejszy i wreszcie ujrzała zbliżającego się w chmurze pomarańczowego kurzu poobijanego dżipa.

Upuściwszy bezwładne ciało Nicka, wyskoczyła przed maskę samochodu i zanim zdążył z piskiem zahamować, była już przy drzwiczkach, szarpiąc kierownicę.

- *Senor...*

Jej słaba znajomość hiszpańskiego została całkowicie zdominowana przez strach i wyczerpanie. Wskazała więc tylko na Nicka.

Kierowca i jeszcze jeden mężczyzna, obaj w mundurach khaki, ukłękli przy nim. Spojrzeli na siebie, a ona uchwyciła słowo *sarpiente*. Nick został delikatnie przeniesiony do budy dżipa.

Jeden z mężczyzn mówił coś do niej, trzymając ją za ramię. Pytał, czy dobrze się czuje. Wygięła w uśmiechu usta, mając wrażenie, że należą one do kogoś innego. Po chwili poczuła, że zapada się w czarną otchłań zbliżającą się w zawrotnym tempie, by ją pochłonać.

- Dany.

Ktoś z bardzo daleka wołał ją po imieniu. Poruszyła się, otworzyła oczy i w chłodnym półmroku ujrzała pochylającego się nad nią...

- Dziadku? Czy to ty?

- Cześć, koteczku. - Dziadek schylił się, pocałował ją w policzek, po czym ujął jej dłoń pomiędzy swoje.

- Jak się miewasz?

- Zupełnie dobrze. - Ziewnęła i przeciągnęła się.

- Na tyle dobrze, by dostać porządną burę? - Posłał jej znaczące spojrzenie spod krzaczastych brwi, a ona, poczuwając się do winy, spłonęła rumieńcem.

- Przepraszam, dziadku, że przysporzyłam ci zmartwień.

Opadła z powrotem na poduszki, rozglądając się wokoło. Leżała na żelaznym łóżku w pomalowanym na biało pokoju. Przy suficie cicho brzęczał wiatrak.

- Gdzie ja jestem?

- W miejscowym szpitalu. Ambasada przysłała po mnie dwa dni temu.

- Dwa dni! - Po tej informacji gwałtownie oprzytomniała. Chwyciła dziadka kurczowo za rękę. - Nick. Co z nim? Widziałeś go?

- Przelotnie.

Dzięki Bogu. A więc on nie... - odpędziła od siebie to okropne słowo.

- Coś mówił?

- Niewiele. - Dziadek przerwał na chwilę. - Zdajesz sobie sprawę, że uratowałaś mu życie?

- Cóż. - Wzruszyła ramionami. - On przedtem uratował moje przynajmniej parę razy. W każdym razie wszystko z nim w porządku.

Położyła się z powrotem, lecz jej brwi w dalszym ciągu pozostały ścignięte.

- Wiesz, dziadku, miałam okropny sen. Śniło mi się, że wstałam i poszłam go szukać. Znalazłam go w pokoju obok. Był podłączony do kroplówki. Kilku mężczyzn w białych fartuchach pochylało się nad nim. Wtem jeden z nich zauważył mnie, podszedł i zaniósł mnie z powrotem do łóżka.

- To prawda - skinął głową dziadek. - Nazywa się doktor Mendoza.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- To znaczy, że to nie był sen? Naprawdę tam poszłam?

-Z tego, co mi opowiadano, chodzenie we śnie byłoby lepszym określeniem - oschle odparł dziadek.

- Kiedy będę mogła go zobaczyć? - spytała entuzjastycznie, lecz kiedy wyraz twarzy dziadka zmienił się, ogarnął ją strach.

- Dany, kochanie...

-Nie! Mówiłeś, że wszystko z nim w porządku!

- Gwałtownym ruchem odgarnęła na bok cienką kołdrę, usiadła i spuściła nogi z łóżka. - Idę się z nim zobaczyć.

- Nie rób tego, Elly. Nie jesteś jeszcze wystarczająco silna.

Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Elly

- dziecinne przezwisko, którego nie używał od lat.

Nagle zrozumiała. Nick nie żył i tę straszną prawdę wszyscy starali się przed nią zataić.

- Nie, dziadku.

Wstała, chwijając się lekko. Delikatnie wyzwołała dłoń z uścisku rąk dziadka i wyszła na ocienioną werandę. Znała drogę - szła już wtedy w owym lunatycznym koszmarze, kiedy Nick leżał błądy i nieruchomy.

Otworzyła drzwi, weszła i zatrzymała się. Dwie kobiety w pasiastych sukienkach ściągały pościel z łóżka, a młoda pielęgniarka-zakonnica odłączała jakiś aparat. Z gardła Dany wyrwał się mimowolny okrzyk. Pielęgniarka odwróciła się gwałtownie i podeszła do niej.

- *Señorita* Trent.

- Nick... pan Devlin... gdzie on jest? - Słowa ledwo przeciskały się przez jej blade wargi, zeszywniałe ze strachu, który sparaliżował całe jej ciało. - Czy on...?

Na młodej, gładkiej twarzy zakonnicy pojawił się wyraz troski.

- Ależ moje drogie dziecko, *señor* Devlin wyjechał dzisiaj wczesnym rankiem. Doktor Mendoza starał się na niego wpłynąć, ale on obstawał przy decyzji wypisania się ze szpitala. Leciał do Stanów, jak sądzę, ale mogę to jeszcze sprawdzić, jeśli pani...

- Nie, nie, dziękuję. - Głos Dany drżał. Zdobyła się na błądy uśmiech, po czym wróciła do swojego pokoju.

Dziadek stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz, lecz kiedy usiadła na brzegu łóżka, zamruczał coś pod nosem, podszedł i usiadł obok niej. Objął ją i przyciągnął do siebie, tak że jej głowa spoczęła na jego szerokim ramieniu.

- Dany... - odchrząknął - Dany, Nick jest wspaniałym facetem. W najtrudniejszej sytuacji powierzyłbym mu swoje życie. Właśnie dlatego prosiłem go, żeby miał cię na oku. Ale - odchrząknął ponownie - on nie... nie skrzywdził cię w żaden sposób?

Zeszywniała i spojrzała na dziadka. Jednakże widząc zmartwienie malujące się na jego twarzy, zdołała



z trudem oddalić się o parę kroków od czarnej otchłani rozpacz, w której zaczęła się pograżać.

- Ależ nie, dziadku. Nick wspaniale się mną opiekował. Nie zrobił mi żadnej krzywdy.

Tylko moje serce jest roztrzaskane na milion kawałeczków. Ale jakoś połączę je ze sobą z powrotem, dodała w duchu.

scandalous

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czy na pewno dobrze się czujesz, Dany?

- Tak, wszystko w porządku, Caroline, dziękuję.

- Hmm. - Caroline wydeła wargi. - Wciąż jesteś blada i wyglądasz na wyczerpaną. Powinnaś być zostać w domu jeszcze jeden dzień. Tak a propos, co powiedział lekarz?

- Och, wiesz - odparła Dany wymijająco - może nie doszłam jeszcze do siebie po tym ciężkim przeziębieniu, a może to te wczesne zimowe chłody i potrzebny mi jest jedynie tydzień słońca.

- Może.

Jednakże pracodawczyni w dalszym ciągu mierzyła ją badawczym wzrokiem, więc próbując odwrócić jej uwagę, Dany rzekła pospiesznie:

- Skończę polerować te georgiańskie łyżeczki, które kiedyś zostawiłam.

- Nie trzeba, wczoraj zrobiłam to sama.

-W takim razie... - Dany rozejrzała się po ekskluzywnym sklepie z antykami, po czym pośpiesznie podeszła do gabloty wystawowej, w której znajdowały się prawdziwe arcydzieła jubilerskie. - Ułożę inaczej te pierścionki.

Tylko jeden z nich tak jak zwykle przykuł jej spojrzenie. Najdroższy w całym sklepie. Ogromny brązowozłoty kamień w ciężkiej oprawie z ciemnego złota. Wspaniały...

„Z oczyma takimi jak twoje powinnaś nosić pierścionek z ogromnym topazem...” Czy każdego dnia, w każdej godzinie życia towarzyszyć jej będzie bolesne wspomnienie Nicka?

- Nie - odparła stanowczo szefowa. - Powiem ci, co zrobisz. Weźmiesz wolne popołudnie, pójdziesz do domu i położysz wysoko nogi. Żadnych sprzeciwów - dodała, gdy Dany zaprotestowała nieśmiało. - Mamy teraz słabszy ruch w interesie, ale musisz być w dobrej kondycji pod koniec miesiąca, kiedy rozpocznie się przedświąteczna gorączka.

- Cóż, jeśli jesteś tego pewna - ustąpiła Dany, czując, jak wokół jej głowy centymetr po centymetrze zaciska się obręcz.

- Mogłabyś też wybrać się na tę wystawę, o której mi opowiadałaś. Jutro już ją zamykają, a powtarzałaś, że musisz ją obejrzeć.

Na zewnątrz powiało chłodem październikowego popołudnia. Dany zapięła niebieski żakiet w obawie przed porywistym wiatrem i wciągnęła skórkowe rękawiczki. Kiedy tak szła spokojnie uliczką, czarny cień, który zawsze za nią podążał, a o którym udawało się jej zapomnieć tylko przebywając pomiędzy ludźmi, wyskoczył nagle, pogrążając ją w fali tak bezdennej rozpacz, że aż zachwiała się na nogach.

Dzisiaj było gorzej niż zwykle... Wizyta u lekarza, która tylko potwierdziła to, co ona sama podejrzewała już od tygodni... Będzie musiała wkrótce powiedzieć dziadkowi. I Caroline, choć nawet gdyby tego nie zrobiła, bystre oko szefowej rozszyfrowałoby prawdę lada dzień.

Doszła do miejsca, w którym rozwidlały się drogi: jedna prowadziła do stacji metra, druga - do muzeum. Dany stała, bezmyślnie patrząc przed siebie. Nie chciała pójść na wystawę. Dziadek usiłował namówić ją, by udała się na oficjalne otwarcie, ale nie posłuchała go. Jednakże nie miała również ochoty wracać do swojego pokoiku, by przez kolejny wieczór wpatrywać się w ściany. Może gdyby zmusiła się, by pójść na wystawę i stawić czoło cierpieniu, okazałoby się, że tylko w ten sposób może pozbyć się bólu i wrócić do życia.

Wystawa odbywała się w jednej z pomniejszych galerii. Surowy, czarny napis głosił: „Zagrożone bogactwa lasów tropikalnych”, a pod spodem widniała nazwa komitetu ONZ, który finansował objazd wystawy dookoła świata. Sięgnęła do torebki po pieniądze na katalog i weszła do środka.

W tej samej chwili usłyszała cichą muzykę indiańską, której głównym motywem były dźwięki piszczałek z trzciny. Dziwnie melancholijna i przejmująca melodia sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu. Ostatni raz słuchała takiej muzyki na wieczorku folklorystycznym w hotelu, trzy dni przedtem, zanim wyruszyła do lasu, spotkała Nicka Devlina i na zawsze zniszczyła swoje szczęście.

Na ścianach dookoła niej, tytułem wprowadzenia do właściwej wystawy, wisiały ogromne monochromatyczne fotografie. Rzuciła na nie wzrokiem bez większego zainteresowania i nagle serce zaczęło trzepotać jej w piersi. Tutaj z pewnością była piramida, na którą się natknęła - poznała wyszarpany ogromny otwór prowadzący do jej wnętrza. Prezentowano kilka ujęć piramidy, jedno bardziej dramatyczne od drugiego, ukazujące prymitywną chciwość, która zniszczyła jej nieprzemijającą świetność.

Czy to Nick robił te zdjęcia? Bardzo możliwe. Ale na pewno oprócz tego jednego, na którym sam klęczy przy kępie bambusa, a w tle widać wrak samolotu. Darń została usunięta, a w rękę trzymał jedną z malowanych glinianych waz. Wpatrywała się w jego twarz, jak gdyby mogła sprawić, by stanął obok z krwi i kości. Uśmiechał się lekko, lecz mimo to jego twarz pozostawała nieodgadniona. Jedynie dookoła ust i oczu rysowało się napięcie.

Stała tam dość długo, aż w końcu, czując na plecach dyskretny wzrok strażnika, przeszła dalej, do właściwej wystawy. Zorganizowana była wspólnie. Iluminowane przyćmionym światłem gabloty

wydawały się unosić w ciemności. Umieszczono w nich liczne wyroby garncarskie, wśród których, była tego pewna, znajdowały się i te pochodzące ze skrzyni w samolocie. Dalej kilka przedmiotów ze srebra i innych metali, których nie rozpoznała, a na samym końcu najcenniejsze eksponaty. Wśród nich widniały złote motyle złożone niegdyś na rozkaz konkwistadorów jako okup za króla, teraz przypięte do czarnego aksamitu. A zaraz obok... tak, to bogini urodzaju z ogromnym brzuchem, dzieckiem na rękę i kolbą kukurydzy. Dłonie Dany spoczęły bezwiednie na delikatnej wypukłości brzucha rysującej się pod wełnianym żakietem.

Nagle mała eksplozja radości rozjaśniła szarość cierpienia. Tak naprawdę nic nie ma znaczenia, pomyślała, oprócz tego wspaniałego, cudownego dziecka, które wspólnie stworzyliśmy. Nigdy już nie zobaczy Nicka, lecz miłość do niego gorzała w jej sercu niczym maleńki płomyczek, zapalony przez trzaskający ogień z rozżłoczonej jaskini. Jeśli pozwoli mu tlić się przez całe życie, może ogrzeje i rozświetli jej ponurą samotność.

Nie licząc siedzącego na krześle strażnika, miała całą salę dla siebie. Nagle usłyszała, jak drzwi otwierają się i zamykają ciężko. Pośpiesznie podeszła do ostatniej gabloty. Zawierała ona tylko jeden eksponat. Na czarnym aksamicie spoczywał złoty łańcuch z rzeźbioną głową jaguara - pysk rozchylony w warknięciu i wlepione w nią oczy.

Oderwała od nich wzrok. W ciemności, po drugiej stronie gabloty ujrzała drugą parę obserwujących ją jadeitowozielonych oczu.

- Nick?!

Ogarnęła ją fala słabości, przyłożyła rękę do czoła. Podszedł do niej szybko i objął ramieniem, uśmiechnął się niepewnie.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Jakże cudowne było jego ramię - ciepłe, pełne życia i siły. Gwałtownie się odsunęła.

- Nie przejmuj się. To tylko zaskoczenie tym, że cię widzę. - Zdziwiona opanowaniem swojego głosu, poczuła w sobie dość odwagi, by kontynuować. - Cóż za zbieg okoliczności, że się tutaj spotkaliśmy.

- Niezupełnie. Tom podał mi adres sklepu z antykami, a właścicielka powiedziała, że poszłaś albo do domu, albo tutaj. Wyjaśniła, że zwolniła cię wcześniej, ponieważ *nie* czułaś się najlepiej.

Popatrzył na nią uważnie, a ona, przerażona tym, że może coś wyczytać z jej twarzy, cofnęła się pośpiesznie i odparła chłodno:

- Ależ nie, czuję się doskonale. - Jednakże kiedy spojrział na nią, z jawnym niedowierzaniem unosząc brwi, dodała szybko: - Po co przyjechałaś, Nick? Czego chcesz?

- Cóż, nie miałem jeszcze okazji podziękować ci za uratowanie mi życia, prawda?

Dany, z całej siły zaciskając ręce w kieszeniach, obojętnie wrzuciła ramionami.

- Z tego co pamiętam, ty również uratowałeś moje.

- A... - w jego głosie zabrzmiało wahanie - jak się miewa Marcus?

- Marcus? A dlaczego pytasz?

Starła się patrzeć mu prosto w oczy, lecz okazało się to niezmiernie trudne. Twarz, którą tak często widywała w snach, była teraz tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by ją pogłaskać. Pragnęła to uczynić z całego serca, lecz zamiast tego wcisnęła rękę głębiej do kieszeni.

- Kiedy zadzwoniłem do Toma, spytałem go, czy wyszłaś za męża. Powiedział mi bez ostówek - cię ironii przypominał dawnego Nicka - że jeśli pragnę to wiedzieć, mogę zapytać cię osobiście.

Bez ostrzeżenia chwycił ją za lewą rękę i delikatnie, lecz stanowczo wyciągnął ją z kieszeni, po czym

powoli zdjął rękawiczkę. Spojrzał na jej palce, pozbawione jakichkolwiek pierścionków, a Dany, znając go dobrze, wyczuła, że nieco się odprężył.

- Tak - oznajmiła łamiącym się głosem - zwróciłam mu pierścionek.

- Czy to... - urwał.

- Z naszego powodu? - dokończyła obojętnie.

- Tak, ale myślę, że w głębi duszy poczuł ulgę. Kiedy wyjechałam...

- W końcu zdał sobie sprawę, na co właściwie się porywa - powiedział za nią z rozbawieniem.

- Chyba tak.

Nie zamierzała jednak uśmiechnąć się ani roześmiać wraz z nim. W ten sposób dopuściłaby go na tyle blisko siebie, by znów mógł złamać jej serce, teraz, kiedy udało jej się połączyć razem parę kawałków. Lecz przede wszystkim nie może pozwolić, by domyślił się prawdy o dziecku. Nie zniósłaby jego litości ani złożonych z obowiązku propozycji pomocy.

Na salę wpadła grupa paplających studentów. Nick skrzywił się.

- Słuchaj, jeśli już skończyłaś...

- Tak, zobaczyłam już wszystko, co chciałam.

Przystanęli na chodniku, potrąceni przez przechodniów. Obróciwszy się ku niemu, wyciągnęła rękę jak dobrze wychowane dziecko.

- Do widzenia, Nick. Miło było...

Odsunął jej dłoń.

- Nie przeleciałem prawie pięciu tysięcy kilometrów tylko po to, by pożegnać się po pięciu minutach.

- To znaczy, że naprawdę przyjechałeś do Londynu, żeby się ze mną zobaczyć?

- A niby z jakiego powodu miałbym odwoływać rejs wokół Wysp Bahama, którego nie mogłem się doczekać już od miesięcy? Chodźmy razem na herbatę.

- Nie, nie, nie chcę. - Cofnęła się o krok.

- Ależ tak. - Rzucił jej gniewne spojrzenie. - I chociaż raz, Danielle Trent, zrobisz to, o co cię proszę.

Uniósł do góry palec i nie wiedzieć skąd pojawiła się obok nich taksówka. Otworzył tylne drzwi i lekko pchnął ją do środka.

- Dokąd, proszę pana?

- Do Savoya.

Opadłszy na oparcie siedzenia, Nick wyglądał przez boczną szybę. Dany wpatrywała się przed siebie, z rękoma buntowniczo skrzyżowanymi na piersi. W pewnym momencie, nie mogąc już dłużej odwracać od niego wzroku, zaryzykowała spojrzenie z ukosa.

Kiedy ostatni raz widziała tego mężczyznę - pomijając, naturalnie, koszmarną wizję w szpitalu - był brudny, rozczochrany, w rozdartych dżinsach. Teraz miał na sobie jasnoszary garnitur, niewątpliwie pochodzący z renomowanego salonu mody, białą jedwabną koszulę, granatowy krawat i kremowy trencz, którego rękaw otarł się o jej dłoń, gdy taksówka weszła w ostry zakręt. Pośpiesznie cofnęła rękę.

A jednak natura tego człowieka nie zmieniła się ani na jotę. Po pierwszych paru chwilach niepewności, spowodowanych prawdopodobnie niejasnym poczuciem winy, był dokładnie taki sam jak niegdyś - emanowała z niego dzikość i z trudem hamowana chęć bycia w ciągłym ruchu. Gdy taksówka stanęła na światłach, zauważyła, jak nerwowo bębni palcami po kolanie. Ta ręka, te szczupłe, opalone palce, które w pamiętnym kręgu ognia pieściły ją, aż zatraciła poczucie rzeczywistości...

- Nie możemy tutaj rozmawiać. - Gdy dobiegła ich głośna paplanina i brzęk porcelany, Nick ruszył w stronę wind. - Napijemy się herbaty w moim apartamencie.

W windzie wciąż milczał, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Kiedy Dany rzuciła mu kolejne ukradkowe spojrzenie, poczuła skurcz w sercu. Pośpny,



humorzysty - nic się nie zmieniło. Musiał wiedzieć, co do niego czuje, więc czemu to zrobił, czemu siłą ponownie wtargnął w jej życie, jak gdyby specjalnie chciał sprawić jej więcej bólu? Powinna być wściekła, a jednak jedyne, czego pragnęła, to wziąć go w ramiona i opuszkami palców delikatnie wygładzić zmarszczki świadczące o wyczerpaniu i napięciu...

Gdy przyniesiono herbatę, wciąż stała przy oknie, patrząc na światła Londynu rozbłyskujące na wieczornym niebie.

- Mleko? Cukier?

Odwrociła się powoli.

- Poproszę o mleko. Bez cukru.

Nalał jej herbaty, po czym wskazał miejsce obok siebie na sofie. Ona jednak usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Kanapkę? - Uniósł do góry róg chleba. - Ogórek. Cóżby innego w Anglii?

- Jasne. - Uśmiechnęła się blado.

Spojrzał na delikatną, cienką jak opłatek kremową porcelaną.

- Troszkę się różni od....

- Dlaczego wyjechałeś bez pożegnania?

Ich oczy spotkały się po raz pierwszy, odkąd opuścili wystawę.

- Ależ pożegnałem się - odparł powoli. - Upewniłem się tylko, że jeszcze nie powróciłaś do rzeczywistości i że nie będziesz słyszała tego, co powiem, stojąc przy twoim łóżku. A wtedy... - przerwał.

- A wtedy?

- Wyrzuciłem to z siebie. Tak głośno i tak szybko, jak tylko mogłem.

- Rozumiem. - Obdarzyła go smutnym uśmiechem.

- Nie, nie rozumiesz. - Z trzaskiem odstawił filiżankę. - Zupełnie nic nie rozumiesz i ja także nie rozumiałem tego przez całe tygodnie. Niemalże udało

mi się nawet przekonać samego siebie, że zdusiłem to w sobie dla twojego dobra, że chociaż raz w życiu poświęciłem się, pozwalając wygrać Marcusowi, a nie cynicznemu, znudzonemu światem facetowi, opowiadającemu każdej kobiecie, która chce tylko słuchać, jakim jest cudownym kochankiem... - Nagle przerwał. - Na litość boską, chodź i usiądź przy mnie - dodał po chwili, uśmiechając się promiennie. - Proszę, panno Trent.

Kiedy usiadła obok niego na pluszowej sofie, ujął jej dłoń.

- Czy wciąż kochasz mnie, Dany? - Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała.

- Wiesz, że tak - odparła wprost i uśmiechnęła się do niego drżąc, kiedy obrócił ku sobie jej twarz. - Przecież nie ma sensu kłamać, prawda?

- Chyba nie. - Delikatnie musnął kciukiem jej wargi. - To swoich uczuć względem ciebie nie byłem do końca pewny.

Co on jej próbuje powiedzieć?

- Ale ty mnie przecież nawet nie uważasz za kobietę.

- Pamiętam, jak ci to powiedziałem. Byłem na tyle głupi, iż myślałem, że jeśli będę *powtarzał* wystarczająco często, sam w to w końcu uwierzę. Byłaś pod moją opieką, zaręczona z innym mężczyzną, którego miałem ochotę rozerwać na strzępy gołymi rękami. Ty... najpoważniejsza i najbardziej kobieca istota, jaką kiedykolwiek poznałem.

- Och, Nick! - Przygryzła wargi.

- Myślę również, że gdyby nie to obsunięcie ziemi, dokonałbym jeszcze jednego wyczynu, największego od czasu Odyseusza i Syren: wyrzekłbym się tego, czego pragnąłem najbardziej.

- Ale po tej nocy... - delikatny rumieniec zabarwił jej blade policzki - byłeś...

- Taką świnią? - Ścisnął jej dłoń tak mocno, że niemalże krzyknęła. - Niewyobrażalne poczucie winy,

skarbie, że zawiodłem zaufanie Toma. Ale nie, to było jeszcze coś więcej.

Spojrzała na niego pytająco, a on nerwowo mówił dalej:

- Jestem facetem, który zawsze odchodzi bez żalu, pamiętasz. Z tobą było inaczej już od pierwszego dnia. Zapanowałaś nade mną. Wszystkie moje odczucia i myśli były od tamtej chwili związane z tobą. Im bardziej usiłowałem sobie wmówić, że nie jesteś w moim typie, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że jesteś kobietą, której szukałem przez całe życie. Chciałem się z tobą droczyć, rozśmieszać cię, pocieszać w smutku, a ponieważ postanowiłem, że nigdy się nie zaangażuję, odszedłem i trzymałem się z daleka.

- W takim razie... dlaczego wróciłeś?

- Ponieważ dwa dni temu znowu poszedłem spać pijany. Ostatnio bourbon poszedł na rynku w górę.

- Uśmiechnął się ponuro. - Kiedy obudziłem się, zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej tego w sobie tłamsić. Musiałem wiedzieć, czy wyszłaś za mąż.

Sięgnął do tenczu przewieszzonego przez oparcie sofy, wyjął z kieszeni mały pakunek i rzucił jej na kolana.

- Zobaczyłem to w sklepie, w którym pracujesz, i postanowiłem zaryzykować.

Dany otworzyła paczuszkę. W środku, na białym atłasie spoczywał pierścionek z topazem w oprawie z ciężkiego, starego złota.

- Och, jest taki piękny - wyszeptała bez tchu.

Obrócił jej twarz ku sobie. Wyraz jego oczu sprawił, że serce prawie przestało bić jej w piersi.

- Tak jak mówiłem... idealnie pasuje do tych cudownych oczu. - Wcisnął jej pierścionek do ręki.

- Wyjdiesz za mnie, prawda, Dany? Odpowiedz mi „tak”, zanim zupełnie zwariuję.

- Ale... ty mnie prawie w ogóle nie znasz. - Mimo wszystko nawet teraz coś ją powstrzymało.

- Prawie, cię nie znam? Moja kochana dziewczynko, żyłem tak blisko ciebie, że znam na wylot twoje serce i duszę. Wiem, że jesteś uparta i potrafisz doprowadzić człowieka do szału, ale wiem również, że jesteś odważna, uczciwa i szczerą. Poza tym myślę, że się w tobie zakochałem, jeszcze zanim cię poznałem.

- W jaki sposób? - Ledwo mogła mówić ze szczęścia.

- Zdjęcie, które pokazał mi Tom, kiedy wrabiał mnie w tę wyprawę. Zdjęcie przepięknej dziewczyny ze złocistorudymi włosami i topazowymi oczami... oto co skłoniło mnie, by wziąć cię na swoje barki. Wtedy sądziłem, że tylko na parę dni, ale teraz to ja proszę cię, żebyś wzięła mnie na resztę naszego życia.

- Tak, Nick, wyjdę za ciebie.

- Och, moja kochana! - Wsunął jej pierścionek na palec i spoglądał nań z dziwnym wyrazem twarzy.

- Boże, jakim ja byłem głupcem - rzekł cicho. - Wolałem myśleć, że mam w ręku pirynt, złoto głupców, a przez cały czas to był prawdziwy skarb. - Przycisnęła usta do jej dłoni. - Boże, Dany, nie zasługuję na ciebie.

- Oczywiście, że zasługujesz.

Wolną ręką pogłaskała go po głowie, zatapiając palce w gęstwie czarnych włosów. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia zerwał się na nogi i odstawiając na bok filiżanki z nie tkniętą herbata, podszedł do lodówki. Zajrzał do środka i wyjął butelkę szampana.

- Proszę, proszę! - wykrzyknął. - Bollinger'79.

Otworzył butelkę, napełnił dwa kieliszki i ponownie usiadł obok niej.

- Za nas, Dany.

- Za nas. - W tym momencie przypomniała sobie o czymś, co sprawiło, że poczuła ukłucie bólu w swoim niemal całkowicie uleczonym sercu. - Och, Nick!

- O co chodzi? - Spojrzał na nią ostro, kiedy odstawiała kieliszek, nie umoczywszy nawet ust. - Czy coś jest nie tak?

- Może zanim powiem „tak”... Mógłbyś zmienić decyzję. - Uśmiechnęła się blado.

- Gzy mam to z ciebie wytrząsnąć?

Nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa, ujęła jego dłoń i przycisnęła do delikatnej wypukłości swego brzucha, niewidocznej jeszcze pod niebiesko-zieloną wełnianą sukienką.

Gdy spojrzał na nią kompletnie zaszokowany, powiedziała cicho:

- Spodziewam się dziecka, Nick.

- Dziecka? Mojego dziecka?! - Był oszołomiony.

- Ta noc w jaskini?

Skinęła głową.

- Czemu, do diabła, nic mi nie powiedziałaś? Nie napisałaś od razu, jak tylko się dowiedziałas? Nie, nie mów mi. - Zbladłszy, zatopił palce we włosach.

- Bałaś się, że skoro już raz cię zawiodłem, odsunę się jeszcze bardziej, widząc cię z moim dzieckiem na ręku. Czyż nie tak?

- Coś w tym rodzaju - przyznała cicho, pochyliwszy głowę, by nie widzieć wyroku w jego oczach.

Za chwilę zacznie się wycofywać. Przykro mi, kochanie. Oczywiście możesz zatrzymać pierścionek, ale...

- Och, moja najdroższa, ukochana! - wykrzyknął zduszonym głosem i wzięwszy ją w ramiona, przytulił policzek do jej miękkich włosów.

- To znaczy, że już nigdy ode mnie nie odejdziesz? Nie zniósłabym tego.

- Moja słodka. - Odsunął ją od siebie i uśmiechnął się łobuzersko. - Z przerażeniem myślę, że pewnego dnia odkryjesz, jaki ze mnie arogancki, niezdolny, humorzasty łajdak...

- Och, to odkryłam już dawno temu. - Rzuciła mu prowokacyjne spojrzenie spod rzęs, lecz nie odpowiedziała na nie.

- I odejdziesz ode mnie - kontynuował - a przecież jesteś wszystkim, czego pragnę w życiu. Chcę być

z tobą i z naszymi dziećmi. Chcę się zestarzeć przy tobie.

- A więc jestem.

Wyciągnęła do niego rękę, a on wziął ją czule w ramiona. Dotyk jego ust powiedział jej, że wszystko, za czym tęskniła przez ostatnie dni, należy do niej. To i wiele, wiele więcej.

scandalous